PSYCHE.

Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie
pod zarz. Z. Hałacińskiego.

STANISŁAW ROSSOWSKI.

PSYCHE.

POEZYE.

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA.
1899.

PIOSNKI.

Długa noc.

— Czy ta nocka się nie skończy,
Czarna nocka nieprzespana?
A daleko-ż ci tam jeszcze
Do srebrnego brzasku rana?

— Gdzie twe rano w srebrnej bieli?
Chyba dalej, niźli bliżej!
Jeszcze chmury śpią na niebie
I w czeluści śpi wiatr chyży.

Jeszcze z pod zmurszałych krokwi
Odzywają się puhacze;
Jeszcze u cmentarnej bràmy
Jakiś upior cicho płacze...

Jeszcze kur nie zapiał nawet,
Co na pogrom mroków woła;
Jeszcze rosa nie upadła
Na pszeniczny łan i zioła.

Jeszcze wrota chat zaparte,
Niby usta niemowlęce;
Jeszcze sen na duszach leży
I na sercach trzyma ręce...

Było.

. . . .
To słuchajcie, jak chcecie.

Było jedno kochanie,
Takie krasne jak tęcza;
Takie wiotkie, a kruche,
Jak ta nitka pajęcza.

Takie czyste, a białe,
Jak w ogródku lilija;
Takie zwinne, jak pszczoła,
Co miód kwiatom wypija.

Było trwożne, jak jagnię,
Ostawione na łące;
Było ciche, jak staw nasz,
A jak ukrop gorące.

Gdy noc wrota otwarła
Złotej trzódce gwiazd w niebie,
Wymykało się z chaty
I pędziło przed siebie.

I pędziło zdyszane
Na rozstajne aż drogi
I czekało tam kornie,
Jak przed drzwiami, ubogi...

— A to dziwne kochanie!
I pomyśleć niemiło!
Cóż się stało z niem w końcu?
— A toć mówię wam: było...

Maki.

Taki sen, to nie przelewki...
Drży mi serce, płonie liczko:
Stałam-ci się z chłopskiej dziewki
Księżniczką.

Przyhołubił mnie w swe ściany
Stary zamek na skał szczycie;
Miałam pokój wyzłacany
— Słyszycie?

Miałam perły, dyamenty,
Biały jedwab koszuliną,
Łożem puch łabędziom wzięty
— A ino!

Było, w oknie sobie stoję
Na wysokiej bardzo wieży,
A w dolinie pędzą roje
Rycerzy.

Promienieją młode lica,
Wzrok każdemu aż się pali;
Jak źwierciadło lśni zbroica
Ze stali.

Ten i ów poziera do mnie,
Białą ręką wąsik muska;
Ten i ów szle z dali skromnie
Całuska.

Woła jeden: Bywaj, droga!
Najjaśniejsza z gwiazd na niebie...
Będę co dzień prosił Boga
O ciebie.

Woła drugi, uważacie:
Co się stanie, trudno dociec;
Lecz spróbuję, czy mi da cię
Twój ociec.

Woła trzeci: — Słuchaj, luba,
Jestem z tych, co się nie boją
Czy ich czeka raj, czy zguba...
Bądź moją!

Pierwszy poszedł na pacierze,
Przed tron króla drugi leci...
A tymczasem już mnie bierze
Ten trzeci...

* * *

Wiem, kto wczoraj był u księdza,
(Sam powiedział mi dobrodziej);
Wiem, kto ojców wciąż, jak nędza,
Nachodzi.

Ino to mi w mgłę zasnute,
Ino nie wiem, kto to taki,
Pod mem oknem w noc zgniótł rutę
I maki...

Najdroższa.

Hodowałam piosnki,
By kwiaty na grzędzie;
Sama nie wiem teraz,
Ile ich tam będzie.

Ta, jak słońce płonie,
Tamta gwiazdką mruga;
Jedna wystrojona,
Niepoczesna druga.

Są takie, co ludziom
Wyśpiewuję rada;
Są pędzące z wiatrem,
By ptaków gromada.

A inne zna tylko
Boru tajnia głucha,
A innych miesiączek
Zadumany słucha.

Ale mi najdroższa
Ta niewyśpiewana,
Co ze mną spać idzie
I budzi mnie z rana...

Brzęczy we dnie ciągle
Nad uchem, by muszka
A czepia się serca,
Jak dziecko fartuszka.

I jak aniołowie,
Co dżdżu kwiatom niosą,
Karmi tamte wszystkie
Łez serdecznych rosą.

W noc księżycową.

A czy już za ciasne tobie
Łany i bory,
Że przed nędzną stajesz chatką
U mej komory?

Masz bogaty strój książęcia,
Czy królewica;
U mnie zaś koszulka zgrzebna,
I czarne lica.

Dawaj znaki, komu zechcesz,
Bielutką ręką,
Tylko nie szlej srebrnych listów
Mnie przez okienko.

Czytywałaś je ty, siostro,
Nockami skrycie.
Aż zmarniało tem czytaniem
Twe młode życie.

Aż wypełzły tobie oczy,
Zwiędły jagody,
Aż na wieczne poszłaś spanie,
Gdzieś na dno wody.

O, liściki wy, liściki,
Słodkie, a zdradne,
Co się ze mną stanie biedną,
Gdy w moc wam wpadnę?

Rankiem.

Pośród kwiatów krążę z rana,
Jak owieczka zabłąkana;
Jak pisklątko przepłoszone,
Nie wiem, w którą frunąć stronę.

Beczy jagnię na zawody,
Do matuli, do swej trzody;
Za gniazdeczkiem pisklę kwili,
— I mnie z gniazdka wyrzucili.

Tu na kwiatach, na ugorze,
Dałeś ty mi gniazdko, Boże.
Tu w noc zstąpił do mnie z góry
Cudny anioł srebrnopióry.

Kładł mi głowę na swem łonie,
Skrzydełkami chłodził skronie;
Zmywał gorżkich łez mych strugi,
— Gdzie się znajdzie taki drugi?

Ranną pieśnią szumią gaje,
A mnie serce, aż się kraje;
Słońce rzuca skry nademną,
A mnie zimno, a mnie ciemno...

Młodość.

— Gdzieś przepadła moja młodość,
By kamień w topieli...
Może wy ją, dobrzy ludzie,
Jak tu szła, widzieli?

— Oj, widzieli my niejedną,
Pewnie, że i twoją.
Czy to ona biegła z chaty,
Gdzie w rząd grusze stoją?

Czy to ona z chaty biegła,
Gdzie same dostatki:
Chleb bieluchny, jasne ściany,
Przyodziewek gładki?

Biegła jasna, nie wiedząca
O bolu, ni trudzie?
— Nie, to była inna młodość,
Moi dobrzy ludzie.

— Oj, widzieli my niejedną,
Pewnie, że i twoją;
Chyba-ż ona biegła z chaty,
Gdzie w rząd maki stoją.

Biegła krasna, jak obrazek,
Rozkoszna, jak łania,
Niosąc w oku żar, na ustach
Piosnkę miłowania.

Biegła, niby ćmy do świecy,
Marząca o cudzie...
— Nie, to była inna młodość,
Moi dobrzy ludzie.

— Oj, widzieli my niejedną,
Pewnie, że i twoją.
Więc to ona biegła z chaty,
Gdzie w rząd wierzby stoją?

Więc to ona biegła z chaty,
Gdzie zarasta ścieżka;
Gdzie niedola w śmieciach grzebie,
A w dymie głód mieszka?

Biegła, nie pytając nawet:
W piekło, czy niebiosa?
— Tak, to była moja młodość,
Odarta i bosa.

— Oj, widzieli my, widzieli,
Aż żal serce ściska.
Przeszła tędy, przez te grudy
I ostre ścierniska.

Krwią broczyły nagie stopy,
Łzami myła lica,
A wiatr chwiał nią niby trzciną
I wył: „Upiorzyca!“

MELANCHOLIE.

Nachadza dusze...

Nachadza dusze brzask świtania,
Co słońca z siebie nie wyłania;
I nieraz pnie się tam ku wiośnie
Posiew, co w owoc nie urośnie.

* *
*

Dźwięk bywa, co nie zabrzmi w pieśni, —
Myśl, co się w czyn nie ucieleśni, —
Radość, co ma fantomu znamię, —
Ból, który życia sił nie łamie.

* *
*

Jakgdyby ptactwa tłum w przelocie,
Tłoczą się, gasną wrażeń krocie —
I próżno duch śle za ich rzeszą
Pytanie: Skąd są, dokąd spieszą?

Tęsknota.

Żadne cię słowo wyrazić nie umie,
Więc echa twoje giną pośród wrzawy,
Jak wśród wulkana huku płacz dziecięcy...
I niepoznana przechadzasz się w tłumie,
Niknąc mu z oczu, jak niknie w jaskrawej
Światłości dziennej gwiazd tyle tysięcy.

Wymowa twoja jest milczeniem głuchem,
Ciało i szaty — myślą nieuchwytną...
Jak wiatru skrzydło powierzchnię jeziora,
Mącisz zwierciadło życia swym podmuchem;
I jak wiatr kradnie woń kwiatom, gdy kwitną,
Tak nam rabujesz spokój, żądzo chora!

Ty przędziesz srebrną tkaninę pajęczą,
A ta tkanina, choć krucha i wiotka,
Zdradziecko z ziemi niskiej nas porywa
W świat rozjaśniony tysiącbarwną tęczą,
Gdzie brzmi harmonji wiekuista zwrotka
I mara szczęścia zmartwychwstaje żywa.

Nieraz ty z nocą schodzisz księżycową
Ku memu łożu i łechcesz dopóty,
Aż zmysły w żarach ekstazy stręt wieją...
Świat prawdy niknie wówczas, a nad głową
Widzę cudowny firmament rozsnuty
I ciebie, zgasła gwiazdo ma: nadziejo!

Śnieżna lilija.

Ledwie śnieg zeszedł... Jeszcze tam w rowie
Niby zbrudzone leży węzgłowie...
W około sterczą badyle suche,
Odarte krzewy, nagie konary;
Liście ich mierzwą stały się, gniją...
Któż to uzbroił ciebie w otuchę,
Kto ci w swe siły tyle dał wiary,
Śnieżna lilijo?

Ani się dotąd ważyła trawa
Wyjrzeć zielenią świeżą jaskrawa.
Ty jedna pośród zżółkłych jej kępek,
Stargałaś butnie więzy martwoty;
Nie wsparta bratnią ręką niczyją,
Jakby zuchwalstwa stoisz występek,
W jasności słońca pławiąc się złotej,
Śnieżna lilijo!

Wstrząsa cię wietrzyk w ciągłej pogoni,
A biały dzwonek dzwoni i dzwoni!
Chociaż go ludzkie nie słyszy ucho,
Dobrze go słyszą uśpione zielska;

Słyszą i chciwie dzwonka głos piją...
Każdą krzewinę porusza suchą
Melodya pieśni twojej anielska,
Śnieżna lilijo!

Jutro, niech tylko zabłyśnie rano,
Stokrocie wstaną i fiołki wstaną
Na krzewach, drzewach pęcze urosną;
Świeży płaszcz wdzieją murawy wszędzie;
I nowe gniazda ptaki rozbiją.
Lecz ciebie, — pierwszej, co przyszłaś z wiosną,
Nikt wówczas pomnieć nawet nie będzie,
Śnieżna lilijo!

W lesie.

Coś tam za mną biegło ciągle,
Coś z za pleców mi szeptało,
Gdym drożyną kroczył leśną,
Zarośniętą ścieżką małą.

Na błękitnych niezabudkach
Coś świeciło, by łez rosa,
I widziałem chwiejne ślady
Na opornych kępkach wrzosa.

Jakieś znaki dawał chyłkiem
Sniežny rumian, jaskier złoty;
Brzmiały zewsząd naprzemiany
To westchnienia, to chychoty.

A wśród brzózek i leszczyny
Ktoś odzywał się szelestem:
„Nie poznajesz mnie już nawet?
To ja jestem! To ja jestem!“

Chciałem uciec; bez tchu biegnąc,
Wreszcie padłem wyczerpany.
— A chychoty, a westchnienia
Brzmiały dalej naprzemiany.

W pieczarach wspomnień.

Wciąż się w pieczarach wspomnień błąka
Myśl, jak ćma niecierpliwa,
Choć te wspomnienia sieć pająka
I gruby pył pokrywa.

Nieutrudzenie w pyle grzebie
I drze sieć dłonią wprawną,
By znowu dotrzeć módz do ciebie,
Której już nie ma dawno.

Lecz próżno całą moc wysila
I nieba w pomoc woła;
Nie wróci czarodziejska chwila
Z koroną słońc u czoła.

Ze snu twardego nie powstanie;
Z martwoty swej nie wskrześnie,
Padłszy bez życia na posłanie
Róż zwiędłych nazbyt wcześnie.

Poszli rycerze...

— „Duch nasz gorący, a serca młode
I tylko z Bogiem nasze przymierze“...
Za siódmą górę, za siódmą wodę
Poszli rycerze.

W oczach im błyszczał zapał i wiara;
Któż się drużynie takiej ostoi?
Szli, jak aniołów walczących chmara,
W złocistej zbroi.

Na dumne czoła słońce im z góry
Złotą koronę swych blasków chyli;
Aż się rozjaśnił ten las ponury,
Kędy pędzili.

Aż się ocknęła na szarej łące
Badyli suchych ciżba żałosna
I drżały, szumem swym pytające:
— „Nowa-ż to wiosna?“

Aż się zerwały serca prostacze,
Które nadżarła troska niesyta,
I każde łkało: „Oto, jak baczę,
Wielki dzień świta!“

Wzrok się wytężył w oczekiwanie,
Łakome zdarzeń, jak tchnienia — płuco,
I ciągle modły błagały: „Panie,
Kiedyż powrócą?“

Tyle lat przeszło! Milczy wieść cicha,
Snać wracających nikt nie dostrzeże...
A jednak dotąd stara baśń wzdycha:
— „Poszli rycerze...“

Słońce.

Jaskrawe słońce się wynurza,
Brzmi z wiatrem pieśń o wiośnie;
Ze snu zbudzona patrzy róża
W płomienny znak na niebie
Patrzy i szepcze doń miłośnie:
— O, słońce, kocham ciebie!"

Mizerny krzaczek niezabudki
Wzrok topi swój w podziwie...
Kwiat jego drobny, żywot krótki,
A jednak blaski, złote gońce
Nie pominęły go, więc tkliwie
Szepcze: „Ja czczę cię, słońce!"

A obok kwiatów człek zbolały
W dal idzie z swą żałobą;
Marzenia jego się rozwiały,
Jak ranna mgła na niebie...
— „O, słońce, woła, gardzę tobą,
Słońce, przeklinam ciebie!"

Z wilegiatury.

Przed mem oknem nuci
	Śpiewak, ów skrzydlaty;
Przed mem oknem kwitną
	Maki i bławaty;
Przed mem oknem grusza
	Pochyla owoce;
Przed mem oknem błękit
	I słońce migoce.

A gdy zmrok zapadnie,
	Przed mem oknem staje
Zadumany księżyc,
	Mizdrzą się gwiazd zgraje.
Szumi każdy listek,
	Szumi zdala rzeka;
Wszystko przed mem oknem
	Dziwny czar obleka

Wszystko; mak i bławat,
	Grusze i ptaszęta;

Tylko mnie nie może
Ująć w swoje pęta;
Tylko ja tu chłodny
I posępny stoję...
Za kolisko czarów
Pędzą myśli moje.

* *
*

Przed mem oknem brzęczy
Żebracza przygrywka;
Chuda szwaczka ślęczy
W oknie z naprzeciwka...
Nocą, gdy popatrzę, —
W oknie z drugiej strony,
Ktoś nad chorem dzieckiem
Czuwa pochylony...

* *
*

Od kwiatów i ptasząt,
Słońca i księżyca,
Biegnie tam myśl moja,
Tęskna gołębica.
Jak do gołębnika
W chyżym pędzie leci
W świat trosk, biednych szwaczek,
Nędzy, chorych dzieci.

Ciemne noce.

O, jak wy straszne, wy, ciemne noce,
Gdy się duch z jarzmem smutków szamoce;
Gdy na tym całym niezmiernym świecie,
Jest jak samotne, bezdomne dziecię,
Jest jak ptaszyna z skrzydeł odarta
I jak wyrwana gdzieś z księgi karta
I jak opadły zżółkniały listek
— Goryczą samą i żalem wszystek.

O, jak wy straszne, wy, ciemne noce,
Gdy czarnem skrzydłem rozpacz łopoce,
Gdy skargę przeszłość z oddali miota
Na one szczęścia zamknięte wrota
I na rozkoszy próżne kielichy
I na serdecznej pieśni zgon cichy
I na zapału wygasłe żary
— Na wszystkich swoich marzeń zmierzch szary.

Lecz najstraszniejsze wy, ciemne noce,
Gdy nawet ducha żale sieroce

I nawet jego bolesne zgrzyty
I nawet płomień szału ukryty
I nawet pragnień błagalne łkanie,
Jak zatrzymany zegar ustanie;
I gdy nad wszystkiem, co wre, wybucha
Zawiśnie gnuśne lenistwo ducha.

Zaduszki.

. . . A kiedy nocą, w późnej godzinie
Światła już zgasną i gwar przeminie, —
Wśród czarnych mroków, wśród ciszy głuchej
Z mogił swych wonczas wychodzą duchy.

I jak spragnieni i jakby głodni,
Do zwiędłych kwiatów, szczątek pochodni,
Do wstęg — ta ciżba nagle zbudzona
Swe bezcielesne wznosi ramiona.

Ile tam szumów i szmerów ile
Na każdym grobie, każdej mogile!
Migocą gwiazdy, rosa opada,
A na cmentarzu — duchów biesiada.

Każda iskierka żywej pamięci
Drżących od zimna wabi i nęci,
A gdzie łza padła żalu na grobie,
Tłum ją łakomie wyrywa sobie...

IRONIE.

Nie wierz, dziewczyno!

Nie wierz, dziewczyno, co prawią poeci,
Że miłość życia drogę ci ukwieci,
Że rajskie złoży na twem sercu znamię
I że z niej jasne tylko blaski spłyną...
Zamiast poezyi, wierz ty raczej mamie,
Piękna dziewczyno!

Niech się myśl twoja nadarmo nie błąka,
Po złych manowcach... Miłość ma pająka
Zwyczaj: roztacza sieci dookoła,
Aby omotać naiwne serduszko;
Ty w niej nadarmo nie szukaj anioła,
Czarowna muszko!

Mężczyzny kształty pająk ten przybierze
I będzie wzrokiem, słowy — coraz świeże
Ponęty tobie niósł — i szeptał w uszko
Tysiące zaklęć słodkich niespodzianie —
Aż cię odurzy i twym, luba muszko,
Mężem zostanie.

Naówczas litość wygnawszy z pamięci,
On cię łakomstwu swojemu poświęci,

On tobie młodą krew wypije z łona,
On twe marzenia dziewicze pogrzebie,
A gdy się w końcu zbudzisz, otrzeźwiona,
— Porzuci ciebie!

Bo wiedz: mężczyźni są to sybaryci!
Twa młodość, piękność rychło go przesyci.
Ospałe nudy, jakgdyby miecz tępy
Spadną na jego szały i zagości
Czas, w którym ledwie pozostaną strzępy
Z całej miłości.

Zwolna rumieńce lic twych także zbledną,
I będziesz patrzeć musiała, jak jedno
Po drugiem z wdzięków twych codzień uchodzi;
I świat ten będzie ci, jak szara plama,
A ty — kropelką wśród mętnej powodzi:
Smutna i sama.

Tak! Mąż cię samą zostawi, a przecie
Co rok mu nowe niańczyć będziesz dziecię.
Zobojętniały już na wszelką zmianę,
On nie spostrzeże nawet, jak ci zżera
Mózgu i serca resztki zachowane
Ta pepiniera.

Ona ci nawet wszelki opór zmoże
I dźwigać będziesz jarzmo swe w pokorze
I tylko czasem łzy z ócz twych wybiegą
Na tę mitręgę, co wszystko pochłania —
I na tę zbrodnię bezkarną twojego
Sponiewierania.

Litość.

Duch ciemności, ujrzawszy miłość, jak ofiarnie
Dla szczęścia innych sama rzuca się w męczarnie;
Jak mienie, szaty, strawy każdą łyżkę dzieli;
Jak życie dać gotowa, by je inni mieli;
— Ujrzawszy, wściekłym gniewem wybuchł w czar-
[nej duszy
I ślubował, że zginie sam, albo ją skruszy.

Więc wysłał na spotkanie złość, szałem nabrzękłą;
Ile jadu na świecie, wszystko to w nią wsiękło;
Jak z rogu obfitości, gwałt, kłamstwo spadały,
Aby w zgliszczy garść zmienić gmach miłości cały
I ciemną swą chorągiew zatknąć na ruinie...
— Lecz z posiewu ich zeszedł plon hańby jedynie.

Bo nawet w rozbestwieniu i zwierzęcej chuci,
Nawet u tych, co z wszelkiej czci szli już wyzuci,
Budził się wstyd po kłamstwie, żal wstawał po
[zbrodni;
Wracali do miłości, wyrwawszy się od niej;
Wracali serc pragnieniem i błaganiem ducha,
Z jarzmem onem na karku, które wkłada skrucha.

Niezrażony miłości nazbyt oczywistem
Zwycięstwem, zmienił ciemny duch naówczas system.
Koszary jego armię wyrzuciły nową:
Bez tarczy, bez oręża, z pochyloną głową,
Z wyrazami miłości na ustach — jedynie
Bez ciepła i porywów miłości w głębinie.

Czego złość nie zyskała, uzyska obłuda...
Ta wszetecznica stwarzać umie istne cuda,
Zastępując istotę rzeczy przez pozory...
Z jej piersi krzyk współczucia zawsze wzbić się skory,
Łez zbiornik w oczodołach jej nigdy nie próżny,
A ręka bez niechęci rozdziela — jałmużny.

Na szlachetne popędy ona haszysz słodki
Leje z czary zatrutej: półczyny, półśrodki;
I w bezwładne wprowadza podstępem uspienie
I dopóty nurtuje w duchu niestrudzenie,
Aż go w rzędzie służalców swych nędznych pomieści,
Niezdolnych już odróżniać pozoru od treści.

Co miłość nawiązała, to ona rozrywa,
Bo patrząc, jak nad cudzym losem biada tkliwa;
Jak oczyma zawraca, piękne prawi zdania,
Miłością ją prawdziwą świat zwie bez wahania.
A jednak pod tą skórą farbowaną gości
Nie miłość, jeno wróg jej: sofizmat litości.

Pesymizm.

Gwar zmilkł, zniknęły przyjaciół postacie,
Zgorzała skąpa uciechy pochodnia —
Sam znów zostałem w cichej tej komnacie,
Która męczarnie moje widzi co dnia.
O, słońca błyski! Po co się wdzieracie
Tu, gdzie mrok tylko każdą myśl zapłodnia —
Tu, gdzie wysłańcy światła promieniści
Nic nie zyskają, oprócz — nienawiści?!...

Nie wasze miejsce przy mnie; oh, nie wasze!
Ilekroć oko nowy blask dnia schwyta,
Woła głos jakiś: „Precz z nim, ja go zgaszę!“
Nadarmo życia siła pospolita
Wspienioną, pełną podaje mi czaszę...
Jakiś posępny, tajemny wróżbita
Z rąk ją wytrąca i rozpacznie wieści:
„To nie rozkoszy napój, lecz boleści!“

Chciałem z nim stoczyć boje, póki w łonie
Ostatnia iskra nie zgasła otuchy...
A później chciałem, jako ten, co tonie,
Chwycić się pierwszej lepszej łódki kruchej,

I chciałem ducha ocalić harmonię
  Pieśnią, gdym słyszał świsty zawieruchy
Ale-m nie dopadł łódki, a mej pieśni
Są dzisiaj burze jak bracia rówieśni.

I wstyd mi nawet onych walk, zaiste —
  I żal mi świata, który butnie kroczy
Z wiarą, iż kiedyś szczęście jasne, czyste
  Trwałym mu blaskiem swoim olśni oczy...
Dziś on zakrawa mi na organistę,
  Który gra hymny święte w takt ochoczy,
Bo jest upojon szczerą tą otuchą,
Iż Boga trafią hymny prosto w ucho.

Duch, chadzający jako mistrz przedemną,
  Odkrył mi życia enigmaty do dna...
I przeniknąłem przestrzeń tę tajemną,
  Która jest jeno w ból wciąż nowy płodna...
I ciągle odtąd i wszędzie mi ciemno
  I tylko jedna prawda niezawodna
Mojemu oku blaski szle ponure:
Trzeba zniszczenie zaszczepiać w naturę.

Już nie w człowieka, w ludzkość, nie w zwierzęta
  W świat roślin, głazów — wszystko to za mało;
Nicość powinna ująć w swoje pęta
  Nie samą ziemię — egzystencyę całą...
Bo póki gwiazda istnienia przeklęta
  Ocali choćby iskrę, co nieśmiało
Promykiem skąpym mrok powszechny przedrze,
Będzie on bluźnił spokoju katedrze.

Nieraz szyderstwo za mą stopą goni:
„Jakiż on powód znalazł do rozpaczy?
Wybraniec losu w czarnej smutku toni —
Trudna zagadka! Kto ją wytłómaczy?!"
Pogardą z głębi cichej mej ustroni
Odpieram drwiny tych chleba zjadaczy
I dumny jestem, że mnie nie rozumie
Tłum, ni głupoty duch rządzący w tłumie...

Tak! Mnie w zwątpienie nie zagnał los biczem,
Gdy was upornych bez skutku zagania!
Nędzą, ni troską, ni stratami — niczem
Mnie nie złamała wyroków tyrania...
A jednak stoję przed świata obliczem
Z piętnem dobrowolnego prawd uznania,
Których dowodem choćby fakt jedyny,
Że cierpię mimo, iż — brak mi przyczyny.

Cierpię, niezdolny nawet ująć w słowa,
Z czego cierpienie owe pokarm czerpie;
Na życiu, które los mi smutny kowa,
Tyle jest ostrych zębów, co na sierpie...
I ciągle rana przybywa mi nowa,
Choć nie zadaje jej nikt i wciąż cierpię —
I wciąż podnoszę przeciw światu żale,
Wciąż go oskarżam, choć go... nie znam wcale

Raj odzyskany.

Jak wąż na brzuchu pełzający zdala;
Jak wąż, co kadłub swój ciężki przewala
Przez trzęsawiska zatęchłe i zgniłe,
A łuskę brudną słońcem opromienia
I sycząc mniema, iż okaże siłę
I sam grzechoce sobie uwielbienia;
Jak wąż niezmiernie długi, jak wąż szary,
W ciągłych zakrętach wtoczył się powoli
Dziwny korowód.
Żywi to, czy mary?

Tocząc się, syczał wąż-tłum: „Na nas kolej!
My apostolstwo niesiem nowej wiary;
Naszymi brzuchy wygładzona droga
Marszrutą stanie się nowego boga!“

A potem drżenie przebiegło gromadę
I szmer się ozwał, hymnu widmo blade,
Tajemniczemu bóstwu ku podzięce.

— „Nasz bóg nie chowa twarzy swej w błękicie;
Nasz bóg każdemu pochyla się w ręce;
Nasz bóg rozkoszą przyozdabia życie;
Nasz bóg niepokój z serc ludzkich wyplenia —
Nasz bóg: Kęs chleba, sprawca utuczenia!“

Z gromady mały wyskoczył człeczyna
I padł na ziemię, proch liżąc łakomie:

— „Pan memi usty, wołał, upomina
Wszystkich, trawionych przez nieszczęsne płomię.
Znam ja manowce, znam ścieżki zdradliwe...
Snułem się niemi długo, nazbyt długo!
Lwi pazur miałem niegdyś i lwią grzywę;
Przewrotnym hasłom był mój żywot sługą.

„I u mnie młodość, w słońcu malowana,
Boga kochała, bliźnich i ojczyznę.
Dziś podobnego, gdy ujrzę bałwana,
Pierwszy mu w oczy śliną szyderstw bryznę!
Opamiętanie przyszło w samą porę —
Głód zaczął serce szarpać mi i trzewie...
I ot, plunąłem na fantazye chore.

„Raz obaczyłem sytość: sytość w chlewie,
Okrągłą, wdzięczną, uśmiechniętą, cichą...
Zazdrość mnie zdjęła, — kusicielka lepsza
Od swojej famy: zazdrość o los wieprza.
I w tem zmądrzenia pierwsze były stopnie!
Ach, przecierpiałem je, — ach, jak okropnie!
Ale nakoniec z mąk niemocy głupiej
Wstałem uzdrowion, widzący już jasno

Majestat boga, co nas wszystkich skupi.
Innym człowiekiem wstałem. Niechaj trzasną
Pioruny kłamną złudę urojenia!

„Wprawdzie z początku szło mi, jak z kamienia,
Bo nie narzuca się bóg nasz i darmo
Nie uszczęśliwia ludzi tłustą karmą.
Jak opasowe nim utyłem zwierzę,
Młodość mu moją oddałem w ofierze.
Zmarniały zwolna wśród ciągłych katuszy
Krew, mózg i serce, oczy, nawet uszy.
Dla mnie ojczyzna pustem dzisiaj hasłem;
Miłość bliźniego ogniskiem — wygasłem;
Mym zmysłom słońce na niebie nie pała,
Pieśń ptaków, kwiatów woń istnieć przestała.
Nawet najsłodszy z wszystkich, czar niewieści
Dla mnie łupiną stał się — już bez treści!

„Ach, wy ascezy dawne; wy, męczarnie
Duchów, do szczęścia rwących się niezdarnie,
Wyszukujących je sobie wysoko,
Kędy nie sięgnie słuch, nie dotrze oko;
Ach, wy chowania się wśród kniej i puszczy;
Wy utrapienia ciał, aż z nich wyłuszczy
Śmierć tajemnicze „coś“, niepewne wielce:
Wy zabiegania pomiędzy wisielce
I ćwiartowane kołem rozbójniki;
Wy milczeń wiecznych wrzeciądze wśród dzikiej
Przyrody — dobrowolnie nakładane;
Wy ręce, same zadające rany;
Wy, walki z pokus niezliczonych mrowiem;
— Czem wy od mych prób wyższe? Niech się [dowiem!

„Lecz mnie, gdym stąpał za życia przez piekło,
Żadne omamień widmo nie urzekło!
I zanim dusza opuściła ciało,
Oto ja żyję boga mego chwałą.
O, dobry, wielki, mądry, litościwy,
Pan dziś sam plonem złotym mojej niwy;
Sam kwiatem na mej grzędzie; w mojej skale
Strugą ożywczą; w mej nocy wspaniale
Świecącą gwiazdą; we dnie słońcem nieba
— Bo syty jestem; czego więcej trzeba?“

I znowu padłszy, proch zlizywał chciwie.
Tłum zaś przystanął i w niemym podziwie
Chłonął szemrzące jeszcze zwierzeń echo.
A potem z wielką ruszył się uciechą,
Krzycząc: „Hosanna!“ i „Naprzód!“
Powoli,
Dalej i dalej zakrętami spieszy.
Kędy zaś przejdzie: po łące czy roli,
Zniszczenie wpada szlakiem onej rzeszy.
By po szarańczy, nic się nie ostanie:
Ni kwiat na łące, ani kłos na łanie.

I ciągle rośnie ciżba, wciąż się mnoży...
— „Nie spocznę, słychać szum jej, aż świat Boży
Opaszę cały: aż zwalę ołtarze
I moce zgniotę, których ludzkość słucha;
Aż się jej oczom wspaniale ukaże
Raj odzyskany“.
Raj! Na gruzach ducha?!

NOWELETY.

Ucieczka myśli.

I.

Przybyła skąś z daleka
I od wczesnego rana
W kąciku, zadumana,
Pokornie stoi, czeka.

Stojąc tak, w krąg rozsyła
Blaski, swe jasne gońce;
On sądził, że to słońce,
A to — Myśl tylko była.

Padła mu jasność ona
W oczy złocistą strzałą...
Zerwał się mocą całą
Przycisnął Myśl do łona.

Lecz usta jej dziewicze
Szepnęły bez obłudy:
— „Mnie zdobyć trzeba wprzódy,
Nim wyssiesz me słodycze.

„Jeśli mnie ukochało
Twe serce — i w przymierze
Chce ze mną wejść, to szczerze
Duszę mi daj i ciało.

„Zawodu — wiesz — nie zrobię;
Żyj jeno dla mnie, we mnie,
A wówczas ja wzajemnie
Cała się oddam tobie“.

I z rąk mu się wyrywa
Wierna swojemu słowu —
I w kącie staje znowu
I czeka nań cierpliwa.

II.

Tymczasem dzień poecie
Garść rzucił prozy szarej;
Nikomu w dzień bez kary
Nie wolno marzyć przecie.

Wymaga rąk i głowy
Ta pora; jej potęga
Calutki świat zaprzęga
Do walki, do życiowej.

Nie ptaszki, nie lilije
My ludzie!... Gorzej jeszcze:
Dziś nawet wieszcz nad wieszcze
Z poezyi nie wyżyje.

Niezłomne jest Jerycho
Mamony... Boże święty!
Rytmy nie dadzą renty,
Rymy się płacą lico.

I w wieczór też ktoś rości
Doń prawo... Swe rączęta
Wyciąga uśmiechnięta
Kobieta z krwi i kości.

Dalekich przez dzień cały
Ta chwila niech zespoli...
Gdy gwiazdy zajaśniały,
Na miłość przyszła kolej.

A Myśl wciąż — o podziwie! —
Z wszystkiemi swemi cudy
Wciśnięta w kąt, jak wprzódy,
Stoi, czeka cierpliwie...

III.

Na dnia jasnego łonie
Składa proza swe berło,
Lecz nocy czarną perłą
Poezya zdobi skronie.

Marzenia i porywy,
Zgłuszone walką życia,
Wychodzą w noc z ukrycia,
Kształt przywdziewają żywy.

I w jego sercu przeto
Wspomnienie się ozwało...
W objęcia swe, a śmiało
Chwyć już raz Myśl, poeto!

Ach, wzrok napróżno goni
I próżno dłoń się ściska...
Nie dopadnie zjawiska,
Ni śladu nawet po niej.

Cierpliwość, złudna siła,
Do czasu tylko służy;
Nie mogła czekać dłużej,
Niewdzięczny schron rzuciła.

Bezsilne słowa biegą —
Gdzież znajdą ją w przestworze?
Ta Myśl — powróci może,
Ale — już nie do niego!

Z smętnych opowieści.

Pająk wieczoru wpełzał tutaj skrycie
I tak omotał ich w swe szare nicie,
Że wciąż zbliżani niewidzialną przędzą,
Pośrodku kwiatów, na pliszowej sofie,
Jak dwa pociągi byli, które pędzą
Naprzeciw siebie wprost, ku katastrofie.

Słowa padały cicho, jak słów cienie,
Mgliste i drżące — jak stłumione pienie;
To urywane, to znowu sklejone
Wysiłkiem woli, która na serc żary
Rzucała, dziwnie uparta, zasłonę
Odwzorowaną z tej godziny szarej.

Nie inną była też ich miłość cała
Miłość? Mój Boże, czyliż ją wyznała,
Lub czyli może on niebacznie kiedy
Odkrył swych pragnień nagość w szału chwili,
Łabędziem padłszy na łono swej Ledy?
— Nie! oni o tem nawet nie marzyli!

Bo jako chmury, co blask gwiazdy słonią,
Zwisł cień niewoli nad jej jasną skronią.
Ręka jej zdana była już innemu,
A poszła w jego dom, do jego łoża,
Pokorna, nawet nie pytając, czemu
Tam ją rzuciła ludzka dłoń, czy Boża?

I nie badała, czy też dość ma siły,
Aby widziadła, które ją wabiły
Wśród snów dziewczęcych i ciągle jaskrawsze
Stawały nad nią, odpędzić przemocą?
I nie badała, co znaczy: „Na zawsze!“
Tam, gdzie się wszystkie marzenia druzgocą.

Aż raz z tej ciszy serca i martwoty,
Wstała zbudzona, jak od zorzy złotej,
Co rzuca nagle nowe światła smugi
I czarność nocy zmywa czystą rosą...
To na jej drodze zjawił się ów drugi,
I za nim widma szły, co tęskność niosą.

I próżno z trwogą zrazu uciekała
Przed jego wzrokiem zapłoniona cała.
Lękliwość, słaba to nazbyt mistrzyni!
Jejże uciszyć serca niepokoje?
— Choć go nie było, stał jednak wciąż przy niej,
I każdej chwili była z nim we dwoje.

Nie ukrywała już rumieńców twarzy,
Ani tłumiła ognia, co się żarzy
W oczach niezdolnych kłamać, kiedy do niej
Posłał na zwiady spojrzeń zastęp chyży...

I tak na skrzydłach tej cichej harmonii
Byli wciąż częściej przy sobie, wciąż bliżej.

Lecz chociaż długie tygodnie, miesiące
Przeszły, — na usta spalone, gorące
Szał się nie wcisnął w zwierzenia przybrany...
Milczała miłość ofiarna, a cicha,
Upajająca się krwią własnej rany,
Ascetycznego słodyczą kielicha.

Aż dziś dopiero ludzkie wreszcie tchnienie
Chciało poruszyć ją niespostrzeżenie,
Gdy omotani szarą mroku przędzą,
Pośrodku kwiatów, na pliszowej sofie,
Jak dwa pociągi byli, które pędzą
Naprzeciw siebie wprost, ku katastrofie.

Dziś... Jak posępna przygniotła ich zmora
Myśl, że już jutro to „dziś", będzie „wczora".
Że nie powróci do nich i na wieki
W sercu posępną zalegnie żałobą...
Bo ich rozłączy dział miejsca daleki,
Bo raz ostatni dano im być z sobą.

I oto ręce złączył niespodzianie
Rzut tej żałości — i szału wezbranie,
Już uderzyło falą swą o łona...
Lecz nadaremnie. Fale się rozprysły —
I tylko głębiej męczeńska korona
Wpiła swe kolce w odurzone zmysły.

I poszli smutni, każde w swoją stronę
I z sobą wzięli to niewyrzeczone
Słowo miłości, z wieńcem krwawym cierni,
Jakby talizman na życiowe burze...
I nie spotkali się, do zgonu wierni
— Bohaterowie, czy tchórze?

Pierwszy zawód.

Stara to była przyjaźń, bardzo stara...
    Ona — podlotek,—on — młodzian, czy śnili,
Jaki jad nieraz kryje życia czara?

    Tkwił rozczarowań zaród w ich idyli.
Pod kwiatem róży czyhał czerw łakomy,
Z jasnych niebiosów wypaść miały gromy.

Za późno wstała, nieświadomie śpiąca,
    Miłość z kryjówki serc, które bezwiednie
Lgnęły do siebie, wybrane z tysiąca.
    Lecz co tam?! Stare dzieje, zwykłe brednie.
Gdzie spojrzeć, wszędzie widzi się je co dnia!

Pewnie: spełniona była na nich zbrodnia,
Gdy pod przymusem z sobą się rozstali,
    Gdy ona jego, on wzajem jej zrzekł się;
Ale, na Boga, świata to nie zwali
    I nawet „zbrodnią“ nie zwie się w kodeksie.
Temis win takich karać nie jest zdolną:
Nie wolno kości łamać, — serca wolno!

* * *

Gdy się po latach zeszli niespodzianie,
Żadne cieplejsze nie zabrzmiało słówko
O tem, co przeszło, jak senne dumanie...
Sztywny rozhowor wiódł pan radca z wdówką
„Dobrą znajomą“ — o kraju, o mieście,
Aż po kwadransie rzekł: — „Czas pójść mi wreście“.

Lecz tu już ona, znieść niezdolna dłużej
Owych oziębłych słów, powstała żywo,
— „Jakto? — wybuchła. My, co jednej burzy
Padliśmy pastwą; my, co jak ogniwo
Z drugiem ogniwem byliśmy sprzężeni,
Mamy się rozstać znów z sobą wśród cieni?

„Jakto? Więc nic już, nic nie ocalało
Z tego, co wspólnie serc roiło dwoje?“
Płomienną była i znów, jak śnieg białą...
Mówiąc to — w oku miała niepokoje
I łzy i ogień, prośbę i wyrzuty...
On zaś na miejscu stanął, jak przykuty.

Potem powoli, z nieśmiałością żaka
Ujął jej rękę i do ust niósł chciwie...
— „Więc pozostałaś mi — szepnął — jednaka?...“
A w owym szeptu cichego podziwie
Wszystkie uczucia skryte błysły razem,
Jak skra z krzemienia dobyta żelazem...

I długo, długo stali tak spojeni
Uściskiem ręki, słów szeptanych przędzą,
Wiedząc, że znowu w dalekiej przestrzeni
Znikną, podobni do mgły, którą pędzą

Przeciwne wiatry, rozdartą na dwoje...
Stali, z swem własnem sercem tocząc boje.

A pozostała im z tej szczęścia chwili
Zatrutej smutków niezliczonych jadem
Pewność i ufność, której już nie zmyli
Chytre zwątpienie licem swojem bladem.
— „Więc nie zawiodłaś mnie!“ W tem jego słowie
Anioł otuchy znalazł swe węzgłowie.

* *
*

Myśleli: „Pewnie już nigdy na świecie
Los nie sprowadzi nas razem“. — Mój Boże,
Byliby na to przysięgli, a przecie...
Życie czasami bywa, jako morze:
Z głębi wyrzuca ono i znów styka,
Co zatopiła, zmiotła fala dzika.

Poważny staruch, zgarbiona staruszka
Łzami wzruszenia wzajem się witali...
Lecz nie szeptano sobie już „do uszka“
Jak dawniej... Nawet wulkan się przepali!
„Co było, przeszło; co przeszło, nie wróci“ —
Ot, jak prawili teraz, z sił wyzuci.

Walki straciły cel... Żadna pokusa
Nie mogła znęcić serc ich w swoje sieci...
Grywali w wista „z żydkiem“. Złapać „rusa“
To był niedoli szczyt zgrzybiałych dzieci.
A kto drugiemu zadał kiedy „szlema“,
Twierdził, że nadeń szczęśliwszego nie ma.

Po wiście kawa i trochę bakalji,
I zwolna przeszedł wieczór... Gdy zaś czasem
Wspomnieli dawne dzieje, to się śmiali:
Ona dyszkantem, on ochrypłym basem.
Ale z uznaniem pamiętał choć jedno
Radca emeryt. — „W tem — mawiał — tkwi sedno!

„W tem, żeś mnie pani nigdy nie zawiodła,
Ani mi nigdy nie sprawisz zawodu..."
— „Przyjdź tylko, radco! — ona na to... Podła
Gwiazda nam niegdyś świeciła za młodu...
Co zaniedbane, to odrobić trzeba...
No, radco, bułki, czy z masełkiem chleba?"

* * *

Przyszedł i wczoraj... Ale — przebóg — co to?
Co za jaskrawe światło z wewnątrz bucha
I aż w przedpokój falą wpływa złotą?
Zkądże ten u drzwi dziad, mumia bez ducha?
Nuż doń z pytaniem. Dziad w głowę się skrobie.
—„Tak, tak! Umarła... tej nocy..."—Masz tobie!

— „Umarła! Proszę! Rzecz djablo niemiła!
Tak-em jej ufał i zawiodła przecie!
Jeszcze mnie wczoraj na kawę prosiła!
Co za niestałość we wszystkiem na świecie".
I wyszedł, jako pesymiści czarni,
Mrucząc: „Ha, trzeba chodzić do kawiarni!"

Rzadki gość.

(Z teki dziennikarza.)

Pamiętam dobrze chwilę oną,
Gdy mi manuskrypt jej wręczono.

Było to zimą o godzinie,
Gdy dzień przedwcześnie we mgle ginie;
Gdy resztki światła mrok dojada
I gdy go w zamian za to — blada
Lamp jasność wpędza gwałtem w kąty.

Zegar wskazywał wpół do piątej,
A może piątą — co najpóźniej.

O tej godzinie w naszej kuźni
Spotęgowaną ruch wre siłą.
Pamiętam w oczach mi się ćmiło...
Tłum drobnych czcionek rozkiełzany
Szatańskie swe wyprawiał tany...
Z dymu cygaret zwisła chmura,
Skrzypiały niestrudzone pióra,

Chłopak z korektą, jak szalony,
Bez tchu na wszystkie biegał strony.
Z „zecerni“ zasię przez okienko
Po skrypt „metrampaż“ sięgał ręką
I jęczał: — „Dużo będzie jeszcze?
Gdzie ja to zmieszczę? Gdzie ja zmieszczę?“

Codzienne dzieje! Gorączkowo
Pochłania dziennik każde słowo.
On się nie wywiódł z przeżuwaczy;
Etapy jego zegar znaczy
I na ten tylko głos jest czuły
Moloch dni naszych — płat bibuły.

I właśnie podczas przesilenia,
Co świstków stosy w „numer“ zmienia,
Do ręki wpadł mi skrypt nieduży...

Czytam, a w głębi nakształt burzy
Coś się zerwało nagle we mnie...
Próbuję stłumić ją — daremnie!

To niegodziwie, bezlitośnie!

Tu, gdzie codzienna proza rośnie;
Gdzie głosi swoje argumenta
Życiowa walka nieugięta;
Gdzie nie uczuciem, jeno głową
Bierze się w karby myśl surową;
Gdzie ziarnka piasku trzeba małe
Ugniatać w zimną, twardą skałę;
— Tu mi gorącą pieśń rzucono,
Rymami nawet niejarzmioną!

I czuję, jak mnie głód rozpala,
Ów beznadziejny głód Tantala:
Łaknienie światów, co tak blisko
O ludzkie cisną się mrowisko;
Światów, co wzrok swój pogardliwie
Po walk poziomych wodzą niwie
I nawet erze, tak zmurszałej,
Jak nasza — niosą ideały!

Zdradliwie śpiew mi w uchu dźwięczy;
Przed wzrokiem miga łukiem tęczy,
Rzekłbyś, na krople barw rozprysłej;
I duszną wonią drażni zmysły,
W sercu zaś żałość, by sierocą,
Rozdmuchał — kto i jaką mocą?

Kto jest ów, co mi spokój burzy?

To na tej karcie, na niedużej,
Do redakcyjnej, ciasnej klatki,
Podstępnie wcisnął się gość rzadki:
Poezya...

Zwiastowanie.

Wyskoczyła młoda trawka
Z pod śniegu na zwiady:
— Hop, hop! Gdzie ty pani wiosno?
Jeszcze u sąsiady?

— U sąsiady, czy sąsiada,
Nie twoja w tem głowa,
Niebezpieczna rzecz ciekawość,
Mówią, źle się chowa!

Nadleciała jaskółeczka,
Bogu siebie zleca:
— Hop, hop! Gdzie ty pani wiosno?
Ruszaj-że z za pieca!

— Pieca ty mi nie wymawiaj,
Trzymaj się błękitu,
Co ty masz tu do gadania?
Patrzcie, jaka mi tu!

Wyszedł Józef siwiuteńki,
Stare oczy mruży:

— Hop, hop! Gdzie ty siedzisz wiosno?
Dzień już taki duży!

— Ejże? Duży, nie maleńki?
Co to świętym wadzi?
Czy ja mięszam się do nieba,
Do waszej czeladzi?

Zjawiła się i Maryja
Na rozmokłym łanie:
— Hop, hop! Gdzie ty siedzisz wiosno?
Toć już zwiastowanie!

Dziwo! Spokorniała wreszcie
Przed Mateńką Bożą:
— Idę, idę już, Maryjo,
Niech mi tam otworzą.

Niech obudzą ciepłe wiatry
Ze snu łan i knieje;
Niech wymiotą mgłę, chmurzyska,
Aż strop zajaśnieje.

Z gniazd niech frunie znowu ptactwo,
Z pęcz niech wyjrzy kwiecie,
Niech roztopi się na słońcu
Mrok, co serca gniecie.

Niech uciecha weźmie górę
Nad świata żałobą —
Zdrowaś Marjo, łaski-ś pełna,
Pan z Tobą!...

Egzamin.

I.

Jakoś niedawno temu trzej anieli
Zdawać egzamin na Cherubów mieli.

Egzaminator nadzwyczaj surowy,
Przemówił do nich Pan Bóg temi słowy:
— Spójrzcie w dół, dzieci!
Widzicie dom ten, gdzie się w oknach świeci?
Dom piękny, okazały,
Z fasadą w ornamenta, z wieżyczką rococo?
Tam na werandzie właśnie się zebrały
Trzy osoby, a każda, jak baczy me oko,
Pod wpływem cudnej nocy, którą dzisiaj mamy,
Otworzyła na oścież swego serca bramy.
Otóż i zadanie wasze:
Zajrzeć w głąb serc tych i grzebiąc w ich treści
Rzec, czy i w którem z nich miłość się mieści?
Ja was bynajmniej nie straszę,
Ale przestrzegam: pomimo pozory,
Niełatwy będzie to kęs do zgryzienia:

Miłość prawdziwa rzadką do tej pory,
A niech mi żaden blichtru nie przecenia!"

Dał znak i wnet mleczną drogą,
Aniołowie w cwał ruszyli,
Otuchą przejęci błogą,
Że przecie byle co ich nie omyli.

II.

Oto mąż wspaniały
Z wypukłym brzuszkiem, usty wydętemi.
— „O, Boże, usta te z cicha szeptały,
Jak dobry jesteś, że nam już na ziemi
Nie skąpisz szczęścia! Ty dajesz noc cudną,
Co przypomina Ciebie, w skrach się mieniąc;
Ty dajesz honory, pieniądz;
Usługę dobrą, że o lepszą trudno;
Córeczkę urodziwą;
Kurczęta z rożna i wystałe piwo
I materace mięciuchne na łoże,
— Jak Cię nie kochać, nie uwielbiać, Boże?"

I wciąż to: „kochać" głosem powtarzał papugi...
Zbliżył się anioł jeden, potem drugi
Słuchali, opatrywali,
Aż w końcu, pokręciwszy nosem, poszli dalej.

Dopiero trzeci,
Rozumiejąc, iż wdzięczność z miłością, jest jedno,
Ledwie popatrzył, już do Boga leci

I woła:
— „Panie Boże, mam! Trafiłem w sedno!"

A Pan Bóg za kark anioła!
— „To ty tak zważasz na moje przestrogi?
Więc z ciebie mają kiedyś być cheruby;
Z ciebie, co miłość widzisz u — bezrogi?
Marsz mi do sztuby!"

III.

Przecudne dziecię!...
Istna różyczka, napół jeszcze w kwiecie...
Oczka naiwne, lecz już ogniem płoną;
Przeczuciem wzruszeń gwałtownych wre łono;
Usta wilgotne, drżące, jakby właśnie
Przed chwilą, piękny królewicz zaklęty,
Rzuciwszy baśnie,
Ssał w pocałunku słodkie ich ponęty.

Dziewczyna ręką serduszko przyciska
I szepcze: „O, ty nocy księżycowa!
By zwierz spłoszony, co w gąszcze się chowa,
Niknie w twym blasku wszelka żądza niska.
Jak niepochwytny promień miłość zlata,
Tuląc do serca wszystkie cuda świata...
Kocham was, kwiatki, wonności krynice;
Kocham was świerszcze, wy grajki wieczora;
Was gwiazdy, niebios róże złotolice,
Ciebie wietrzyku, ogrodów tenora...
Czegoż nie kocham? A przez te rozkosze
Do Ciebie, Boże, miłość moją wznoszę!“

Jeden z aniołów dwóch, co pozostali,
Ledwie skończyła, prosto w niebo wali.
— „Boże! Znalazłem, prawi zadyszany,
Miłość najczystszej odmiany!“
Ale Pan prędko ochłodził w nim zapał.
— „Skaranie Boże! Znów się jeden złapał!
Że tam jest miłość, to mi rzecz nie obca;
Zbadawszy jednak, po rozwadze ścisłej
Byłbyś sam spostrzegł, że to bają zmysły,
Że jej poprostu zachciewa się chłopca!
I to miłości śmiesz nazywać słońcem?
Ja tu anioła mieć chcę, nie poetę!
Pokpiłeś sprawę, a więc koniec końcem,
Bratku, repete!“

IV.

Zgłasza się wreszcie ostatni,
— „I cóż? Bóg pyta.
Pewnie, jak tamci, w pierwszej lepszej matni
Ugrzązłeś zaraz. — Mam już głupstw do syta!
Jeśli wzbogacić tylko chcesz ich szereg,
To bez mówienia odstąp, póki pora".

— „Boże, odpowie anioł, od usterek
Wzrok mój nie wolny, jak Twój, profesora!
Lecz jeśli nie jest miłością prawdziwą,
To, co widziałem przed chwilą tam, w dole,
Nie być aniołem w takim razie wolę.
Przy boku sobka, który ciągnąc piwo,
O swej miłości zapewniał Cię, Panie;
Obok dziewczyny, która zmysłów drganie
Brała naiwnie za ekstazę świętą...
Siedział ktoś jeszcze: kobieta w lat sile,
Choć już siwizny nosząca memento...
Nie żona jego, ani też jej matka,
Przyszła im niegdyś, gorżkie słodzić chwile...
Postanawiając wytrwać do ostatka.

Błogosławieństwa zaś moc wniosła z sobą,
Aż się uśmiechnął los, czarny żałobą.
Na miejsce nędzy, przywiodła dostatek,
Na swego serca karmiła ich chlebie,
Jakby najlepsza z żon, najlepsza z matek
— I nic, nic w zamian nie chciała dla siebie.
Oto i teraz, ta bliska-daleka,
Ta ich zbawczyni, ta tkliwa opieka,
Ten, czujny rozum, co się ku nim zwraca,
Ta ciągła troska o nich, dla nich praca,
Wiesz, za co z serca dzięki szle ci, Boże?
Że na tych dwoje szczęście patrzyć może!"

— „Dość już! Bóg przerwie, kreśląc w katalogu.
Skończone... Takich ja lubię!
Gdyś znalazł miłość, która służy Bogu,
Masz eminencyę — Cherubie!"

CHWILE.

Lektura.

Rozsnuła cisza swoją przędzę,
Na stole lampa jasno płonie;
Wsparłszy o dłoń znużone skronie,
Przewracam karty w wielkiej księdze.

Ta martwość ciszy, późna pora —
Do studyów nie zachęca wcale...
Myśl ledwie wlecze się ospale
Szlakiem wskazanym przez autora.

Próżno do tego mózg ją zmusza...
W opustoszałe cztery ściany
Jakgdyby wszedł ktoś niewidziany —
Ktoś, kogo czuje moja dusza.

I, zda się, stoi tuż tak blisko,
Że rytm oddechu słyszę prawie...
Tylko się oczom mym na jawie
Nie chce ukazać to zjawisko...

Sen.

Tak... To było... Ja żyłem... Może przed godziną,
Może przed wiekiem...
Teraz mgły, jak wspienione oceany płyną.
Mieszając bliskie z dalekiem.

To było... Czyliż niedość?... Ledwie nakształt echa
Coś płacze, coś się uśmiecha,
Coś światło nieci i gasi je znowu,
Ja zaś nakształt rybaka, gdy już syt połowu —
Na czółnie pełnem zdobyczy
Uchodzę w dal...
Po co mi jeszcze uciech błysk zwodniczy?
A żal...?

To było może przed godziną,
Może przed wiekiem... Może...

*

. . . .

Widzę tylko bezdeń siną
W niezmiernym przestworze.

Żaden szmer tu nie zalata
W głuchą, martwą ciszę;
Jak ostatni pyłek świata
W próżni się kołyszę.

Odleciały myśli, żądze,
Bóg wie, w które strony;
Jak bez steru okręt błądzę,
Przez fale niesiony.

*

O, słodkie ty upojenie,
Wśród bezwładności;
O, bezgraniczne przestrzenie,
Gdzie nicość gości;
O, chwilo, w której pomału
Znika moc czasów rozdziału,
Jak spadająca zasłona;
Chwilo, w której jak w tyglu miedź z cyną stopiona,
Jak duch jeden ujęty w dwa odrębne ciała,
Z przyszłością tworzy jedno przeszłość skamieniała!

*

Leciuchno niepostrzeżenie
Ktoś mnie w powietrznych ramion ujął dwoje,
Czuję, że to opieka tkliwa, nie zasadzka...
Tak matka kochająca tuli dziecię swoje,
By go snać wietrzyk nie owiał z nienacka.
I słyszę, jak ktoś szepcze przy mnie, czy też we mnie:
— „Do wrót nicości pukasz nadaremnie!

Już był jej kielich ustom twoim bliski,
Już się chyliłeś na łono huryski,
By na niem zginąć, lecz oto z oddali
Jam to spostrzegła, — ja, świadomość twoja,
I nim omdlałość całkiem cię powali,
Zjawiam się tutaj, jako zbawcza zbroja".

*

A gdy mówiła, przeszyły mgłę błyski
I mgła opadła na dół, tak jak męty,
A nad nią, jakby po potopie z wód,
Świat się wychylił, jasny, uśmiechnięty
I zapłonęło słońce, jako wprzód
I kwitły kwiaty i ptactwo śpiewało
I ludzkie w koło rozbiegło się mrowie...

A mnie wciąż jeszcze, jak dziecinę małą
Tuliło ramion powietrznych węzgłowie...

Chmurny poranek.

Dusza.

Czekałam ciebie...
Czekałam we łzach i rozpaczy...
O, jakże długa ta noc, jakże długa!
O, jakże czarna!
Byłam, jakgdyby na własnym pogrzebie,
Martwa, — nie, żywcem pogrzebiona raczej —
I poszarpana, by rola od pługa,
I bardziej trwożna, niż rzucone ziarna.
Tak! Bardziej trwożna byłam od ziarenka,
Które niepewność przyszłej chwili nęka,
Bo nie wie ono, czy tam — w ziemi łonie —
Moc rodzicielki życia je owionie,
Czy też je dotknie okrutna zagłada
Z rąk głodnej matki, co swe dzieci zjada.

O, jakże długa ta noc, jakże długa
Na łożu chłodnem, twardem, pełnem cierni!
Sen nie przyleciał do mnie, szczęsnych sługa;
Czuwałam, ani niepodobna wierniej
Przy własnem czuwać dziecięciu w żałobie,

Jak ja, Boleści, czuwałam przy tobie!
Wyssałaś z żył mych krew ciepłą i siły,
Aż oto powstał bunt we mnie i krzyczy:
O, przyjdź poranku, mój kochanku miły
Z czarą pokrzepień i czarą słodyczy.
Przyjdź w złotym blasków cudnych dyademie
Z szczebiotem ptasząt, kwiatów lubą wonią...
Perłami rosy obsyp szarą ziemię...
Przyjdź!...

Poranek.

Smętne jęki słyszę, co mnie gonią
Po niebios stropie, niby smycz zdyszana. —
Idę już!

Dusza.

Błysły pierwsze brzaski rana...
Lecz jakie szare! Ni śladu promieni!

Poranek.

Idę już, idę, ale smutny idę...
Czem ja pocieszyć mam was, udręczeni?
Oto w chmur ciężką przybrany chlamidę
Nogę za nogą z trudem ledwie wlokę.
Ołów na stopach, w sercu mam opokę,
Zimnym tchem kwiaty otrząsam i tłumię
Skrzydlatych grajków rozkoszne porywy.

Dusza.

Stanął przedemną w pochmurnej zadumie
Jak ja, złamany, — jak ja, nieszczęśliwy.
O, to nie światła, życia bujny książę,

Nie odkupiciel! Z nocy panią czarną
Sojusz go wiąże.

Poranek.

Nie płacz! Ramiona cię moje przygarną
Równie miłośnie, jak ongi, jak w chwili,
Gdyśmy się w blaskach i żarze pławili.
Ja na twą zgubę nie knuję zasadzki...
Tak mi kazano przyjść, tak więc przychodzę...

Dusza.

Głos rezygnacyi słyszę świętokradzkiej.
Nie na tej chciałam obaczyć cię drodze!
Gdzież ogień męstwa, gdzie czynu oręże?
W wieńcu twym dzisiaj miasto róż, lilije...
Zwycięż ty ból mój!

Poranek.

Chcesz? Ja go zwyciężę!

Dusza.

Powróć mi spokój!

Poranek.

Chcesz! Ja cię — dobiję!

Przyjście wiosny.

I.

Swej złotowłosej dziecinie
  Tak matuś prawi:
  — „Nadstaw-że uszka...
Już z wiatrem głos wiosny płynie...
Lada dzień stanie tu różowa nóżka
I zabłyśnie sukienka barwna z piórek pawi —
I zrobi się na świecie tak jasno, tak miło,
Jakby nigdy tej zimy nieznośnej nie było!“

  Dziecina klaszcze radośnie,
  Skrzą się oczęta...
W serduszku dźwięczy piosenka o wiośnie...
Jak to? „Lód spłynął...“ Nie, słów nie pamięta,
Tylko melodya brzmi, gdyby zaklęta
Coraz to rzewniej, mięciej, coraz słodziej...
— A na dworze tak smutno zimny wiatr zawodzi.

II.

— „Mamusiu!“ — „Czy podać ci wody, dziecino!“
—„Nie! Chodź tu, niech ciebie popieszczę.
Wiosenki świt blisko, patrz: w oknach już sino...“
— „Śnisz mała, tam czarna noc jeszcze“.

— „Cóż znowu! Nie widzisz, matusiu, anioła,
Jak zmiata chmur strzępy i mroki?
I piosnki nie słyszysz? Ach, taka wesoła!...“
— „Ja słyszę jęk wichru głęboki!“

– „Jęk wichru? Jęk wichru? Ach, przebudź się, [mamo!
Ubieraj mnie — szybko — już pora...
Błysnęło słoneczko, wiosenka pod bramą“.
— „Na Boga, dziecino, ty chora!“

—„Matuchno, doprawdy, śmiać chce mi się z ciebie.
Udajesz, lecz ja się znam na tem!
Kwiatuszki na ziemi, ptaszęta na niebie...
Jak dobrze być ptaszkiem i kwiatem!“

— „No, nie strójże żartów, ty mamo, filutko!
No, skądże ta minka żałośna?
Daj rękę... Czy czujesz?... — O, jak mi cieplutko...
To wiosna, to wiosna, to wiosna!“

Z jesieni.

Noc dawno już niebu z łona
Strąciła słońce-różę,
Świat cały w czarne ująwszy ramiona...
Przez okna duże
Widnieje czarność jedynie
I szum żałośną falą ku mnie płynie
I deszcz kroplami o szyby wydzwania
Pieśń jesiennego konania...

Otwarłem okno, spojrzałem do góry:
Chmury i chmury
I tylko wielki od nieba do ziemi
Strumień deszczowych łez...
Ach, po tym ranku z brzaskami cudnemi
Taki-ż dnia kres?

* *
*

Bo i ja znałem brzaski i świty
Różowe...
Marzenia moje, jako z łąki wzbity
Mgieł wianek, wiotkie — jedynie połowę

Istoty swojej z tego świata miały...
One, jak anioł sunęły się biały,
Ziemi zaledwie dotykając nieco...
A żadne zorze tak barwnie nie świecą
I żadne od nich czystsze być nie mogą.
I żadne taką otuchą nie darzą,
Jako te ponad mej młodości drogą
Mgły z skrzydły anielskiemi i anielską twarzą.

*

Lecz świty, brzaski — jedna krótka chwila!
Oto już słońce z za nich się wychyla;
Słońce, co drogom marzenia-tułacza
Ścisłe granice zaznacza;
Słońce, król ziemi, świata, który liczy
Z dnia na dzień żywot zwodniczy;
Słońce, co życie daje, by je potem
Zabić złocistym żaru swego grotem,
Rodzic i zjadacz swoich własnych dzieci
— Słońce, co zgaśnie, choć tak hardo świeci!

*

Wstrząsnął się marzeń rój mglisty i z cicha
Wzleciał ku górze...
Tak z otwartego uchodzi kielicha
Aromat lotny i zostawia krużę
Z cierpkiemi męty...

Gdym podniósł oczy, już na nieboskłonie
Mojego życia zaciężył rozpięty

Chmur wieniec szarych, podobny koronie,
Co ołowianym ciężarem ugniata
I jest nie krasą, a przekleństwem świata!

W tem grom uderzył... Przyszły, przeszły burze...

*

Przez okna duże
Widnieje czarność jedynie
I szum posępną falą ku mnie płynie —
I deszcz kroplami o szyby wydzwania.

To one chmury, co w brzaskach zarania
Mgłą się ścieliły różową
Zawisły teraz nad głową
Z swoją zmartwiałą rozpaczą
I gromu cisnąć już niezdolne, — płaczą.

U choinki.

My starzy ze zwątpieniem nurtującem w duszy,
Z bolącym zębem życia, który już się kruszy,
Ze złamanemi skrzydły, — my gorżcy i smętni,
Z sercem, gdzie ledwie resztka uciech słabo tętni,
Jak pod grudą w tajaniu odrobina wody;
My starzy zstępujemy dzisiaj znów w świat młody,
I przy jego ognisku grzejem się, zziębnięci.

Prowadzi nas tam słaba, drżąca dłoń pamięci,
Utrudzonej strażniczki życiowych zdobyczy...
Ona, ilekroć łupy naszych walk przeliczy,
Chmurzy się zasępiona i z żałością biada
Nad wątpliwym tryumfem, ale zawsze rada
W przeszłość sięga, ze skrzynki wydobywa złotej
Plon dziecięctwa, wołając: „To wasze klejnoty!“

Dziś ona znowu przy mnie... Dziś znowu litośnie
Jak szarytka tu weszła — i mówi o wiośnie
Dawno przeszłej... O wiośnie niepowrotnej życia;
Dziś znowu wywołuje, jak medium, z ukrycia

Szereg mar zapomnianych w chaosie i trudzie...
A ja, wzrok mój w nie topiąc, czuję jak — o, cudzie!
W duchu mym przytępionych władz i uczuć mnóstwo
Budzi znów się rodzące mej młodości bóstwo.

Pamiętam... Wzrok biegł tęskny ku niebios dziedzinie.
Śledząc, rychło też pierwszej blask gwiazdy w dół
[spłynie.
Z tęsknotą żar pragnienia na dziecięcej twarzy
Malował swe rumieńce, a w serduszku gwarzy
Współczucie — dla aniołka... Ileż-bo roboty
Ma on! Trzeba nasamprzód gwiazdy lichtarz złoty
Oczyścić, aby błyszczał i jego opiece
Świecę oddać, a potem zapaliwszy świecę,
W każdy dom, gdzie są grzeczne dzieci, wnieść
[wspaniałą
Choinkę — i ujść, by go oko nie widziało. —

Jak on to wszystko zrobi? Jak on naraz wszędzie
Choinki przyozdabiać i oświecać będzie?
Jak potem przez zamknięte drzwi wymknie się
[gładko?
Próżno walczył dziecięcy umysł z tą zagadką,
A jednak nieufności mrok nie postał w głębi,
Bo czegóż nie wyjaśni niewinny, gołębi
Głos wiary?

Dziś go słyszę znowu z ust mych dzieci,
Gdy patrząc się na niebo, czy już gwiazda świeci,
Szepczą sobie po cichu tajemne domysły.
Zazdroszczę im, choć czyniąc sam rachunek ścisły
Z życia, które już za mną, spostrzegam—rozdroże...

One łudzą się przecie, a złuda — mój Boże! —
Tylko zawody niesie... Czyż ją krzewić dalej?

Sceptycyzm, który zwolna każdą świętość wali,
Zgrzyce: „Tem lepiej otrząść się ze złud, im prędzej!“

Ale serce, co nieraz wśród życiowej nędzy
Krwawiło się łaknieniem, choć złudnej otuchy,
Tłumi ten zgrzyt zwątpienia, rozpaczliwie suchy.

Ono, przeszłość swą mierząc własnych cierpień skalą,
Wie, że w gruzach tych wierzeń, co się same walą,
Ginie spokój i szczęście... Ono wie — po sobie...
I tuląc rozmarzone te postacie obie,
Dzieweczki i chłopaczka, życzeniem im wtórzy;
— „Ocalcie wy dziecięctwa urok jak najdłużej!“

Drwa syczą.

Po cichu, bez oporu, jasność broń już składa,
Jak dusza, gdy batalię przegra w końcu życie...
Tylko na szybach okna miga wizya blada,
Nakształt snu, który w grobach, wy, umarli, śnicie.
Tu chłonąc marne resztki światła, mróz rozściela
Mistyczne swoje lilje bez krasy i woni,
A księżyc, zachwycony dziełem przyjaciela,
Z pękiem iskier bez ciepła ku niemu się kłoni.

Hejże, drwa na kominek, bo i mnie już w głębi
Mrok opada bezwiedny, zimne tchnienie ziębi.
Chyli się skroń, powieki senność zwolna klei,
I cicho w mojej duszy, jak w noc mroźną w kniei...

*

Oto już płoną...
Żywiczny zapach, jasność, ciepło bucha...
Drwa miały w sobie władzę utajoną:
Gdy syczą teraz, wpada mi do ucha
Szept ich łagodny gwarą tajemniczą,
— Jak one syczą, jak syczą!

Przysiągłbym: znam skądś ton ów... Dawne dzieje...
Lecz skąd go znam?
Zmierzchłe wspomnienie znów do mnie się śmieje...
Tak! To ten sam,
Co niegdyś dziecku słowami prostemi,
W bajce odsłaniał na ziemi
Światy płynące czarem i słodyczą...
— Jak te drwa syczą, jak syczą!

Przypadła do ich skazek dusza moja,
Niby spragniony wędrowiec do zdroja.
Zdyszana, gorzej zgonionego charta,
Spoczywa teraz cicha, rozpostarta
Przed baśni marą dziewiczą...
— Jak te drwa syczą, jak syczą!

*

Czy to nie szum dąbrowy,
Nie łopot sarny spłoszonej w gęstwinie?
Czy to nie zięby śpiew serdeczny płynie?
Czy nie kukułki wiodą tam rozmowy
W cieniu gałęzi wiązu, albo buka?
Czy to nie dzięcioł pompatycznie puka?

Czy to nie słońce południowe pała,
Ponad polaną leśną, gdzie na łące
Na schadzkę kwiaty zbiegły się pachnące —
I gdzie uciekła, choć wrąca, nieśmiała,
Młodych, naiwnych dwóch dusz tajemnica,
By zbliżyć serca dwa i dwoje lica?
Czy to nie iskier kaskada się zlała
Strugą złoconą?

A drzewa kąpią się w niej, drzewa chłoną
Żar, ciepło, wonie, szeptów, pocałunków echa,
I gromadzą je skrzętnie i zapasy czynią,
Jak wiewiórka, co w lesie pierwszą gospodynią,
Przed przyjściem zimy plony gromadzi orzecha.

*

Rzekłbyś, zaklęcia przywabione mocą,
Z płomieniem wybiegają z swego spichrza, z drewna,
Wszystkie te dziwa — i znowu migocą...
Cofa się zima; zdziwiona i gniewna,
Sprzątnięte z okien na dwór wynosi swe krosna.
A przy mnie, we mnie, lice promienne odsłania
Słoneczna kwiatów, ptasząt monarchini: wiosna,
Na ustach mając piosnkę leśnego kochania...

Z wiosną.

Więc nadaremnie ci posępni wieszcze
  Gorżkiem zwątpieniem dotąd mnie żywili?
Więc serce czuje, duch zrywa się jeszcze,
  Gdy wiosna słodką swoją czarę chyli?
Więc jeszcze ciepło w duszy nie wygasło?
  Więc wulkan pragnień nie zastygnął we mnie?
O, ewangelio nicości, twe hasło
  Czyliż ma przebrzmieć — przebrzmieć nada-
[remnie?

Lecz oto stoję ponad strugą wielką,
  Na którą krople istnień się złożyły
I w której jestem sam drobną kropelką...
  Czemuż w tych falach wartkich tyle siły?
Żali potężny, ruch bijący w górę
  Jedynie przeto wśród głębiny gości.
Aby je cisnąć w objęcie ponure
  Przedwiecznej matki wszystkiego — nicości?

Słucham... Ze wszech stron — mirjadami, zda się,
  Tonów — pieśń głośna, namiętna wybucha

I z dziwnem drżeniem czuję, że w jej krasie
  Brzmi, jakby jeden głos jednego ducha.
I ponad całą wrzawą walki bytu
  Głos ten miłością tchnie — i próżno goni
Ucho za zgrzytem, bo dysonans zgrzytu
  Utonął nagle w bezedniach harmonii.

Potężny strumień miota się zuchwale
  Blaskami słońca ozłocon obficie;
Gdzież gorycz, smutek, zwątpienie, gdzie żale?
  Jak plamę ze mnie omyło je życie.
Dokąd ty płyniesz, strugo? Jaka głucha
  Łożyskiem czasu wiedzie cię konieczność?
Ona zaś szemrze: „Mnie wiedzie dłoń ducha!
  A dokąd płynę? — We wieczność!“

GRZECH.

I.

Grzech, rzuciwszy swe mroczne, ciemne legowiska,
Szedł szukać nowych ofiar... Przybrał postać zwierza,
Sierć nastroszył — oczyma, jak węglami błyska;
Ryk z gardzieli, posoka toczy mu się z pyska,
Dwa rzędy ostrych zębów złość i głód wyszczerza.

Jak huragan wypadłszy w środek tłumu ludzi,
O kogo jeno siercią otrze się, już brudzi.
A gdzie kły swe zapuści, tam zatrute śliną
Równej wściekłości jady w krew i soki płyną.

Lecz marny to posiłek, jadło zbyt powszednie!
Wykwintniejszej biesiady łaknie dziś grzech stary..

* *
*

Zdala tłumu, co błotne zamieszkał bezednie,
Na szczycie wkraczającym w niebiosów obszary,
Spoczęła młoda Psyche... Ledwie w koszulinę
Przystroiły jej postać cudowną mgły sine,
A na mgłach słońce, żądne niewinnej pieszczoty,
Utkało z swych promieni skrzący płaszczyk złoty.

Pośrodku białych lilij, jakby ich siostrzyca
Czystym kwiatem podniosła ku górze swe lica;
Jej strawą tchnienie wiatru, jej napojem rosa,
Jej spojrzeń metą jasną niebiosa, niebiosa...

* *
*

Grzech, ujrzawszy samotną, stanął osłupiały...
Wszystkie żądze potężnym głosem w nim zagrały...
Tak grają surmy z spiżu, walkę zwiastujące...
Cóż, że nędznych wyrodków pożerał tysiące,
Że obrócił dla siebie na jatki świat wszystek —
Gdy ona, najcudniejszy w kwiecie świata listek;
Ona, promień najczystszy w jasności żywota,
Nie zaszła ni na jedną chwilę w jego wrota?

Z pożądaniem warknęła żądza zemsty chciwa,
Jak pod strzały naciskiem jęcząca cięciwa
I pobiegł w dal, ku Psysze, którą blaski stroją,
Głos pogróżki: „Choć nie wiesz, kim ja — będziesz
[moją!“

II.

Słuchała, on zaś rykiem znów przeszył powietrze:
—„Patrz na mnie!—wołał. Widzisz te kły, te pazury?
Niech tylko zechcę, w proch cię jeden cios mój zetrze.
Lecz jam do ustępstw chętny, jak chyba nikt wtóry.
Oddaj mi hołd należny, pójdź, gdzie cię powiodę,
A ocalisz od zguby życie swoje młode".

Milczała — czyżby z trwogi? zdumiona jedynie. —

— „Wiem — podjął. Myślisz pewnie, że mój odzew [płynie
Ze źródła czczych przechwałek... Patrz-że i sądź sama!"

Uderzył stopą o ziem, a ziemia, jak brama,
Rozwarła się, drżąc trwożnie i przy wichrów świście
Z ziół kwiaty, z drzew się na nią posypały liście.
Zwierzęta z nor wypadły, frunęły w dal ptaki,
Na chmurach błyskawiczne zapłonęły znaki...
Dokąd wzrok sięgnął, wszędzie strach i przerażenie...

Tylko na Psychę jasną nie padły ich cienie.

—„Możesz—rzekła—rozszczepić ziemię do głębiny;
Możesz nocą chmur gęstych zasłonić strop siny;
Możesz wszystkim żywiołom, co z prochu powstały,
Kres położyć, mnie przecie, mimo mocy całej
Nie pokonasz... Posłuchaj, co tobie odpowiem:
Chociaż tylko te wiotkie liście mem węzgłowiem,
Choć tylko mgły i blaski słońca mą odzieżą,
Niech śmiertelne potęgi ze mną się nie mierzą...
Mnie strzała nie przeszyje, mnie cierń nie ukole,
Ni zabić mnie nie zdołasz, ani wziąć w niewolę.
Spróbuj: wszystkie przemocy swej wytocz arkana,
Ja, tchnienie, pozostanę jednak nieskalana,
Nieuchwytna dla ciebie i ciągle daleka“.

Wzbił się tuman... Grzech z miejsca ruszył i ucieka.
Wstyd go pędzi biczami niespodzianej klęski...
Zbyt zaufał swym siłom, on, zawsze zwycięzki —
I oto niezręczności klątwa nań upadła...
Lecz tem srożej nienawiść burzy się zajadła.
Kurzawą osłonięty, zgrzytając zębami,
Warczy: „Hola! To-ć jeszcze nieskończone z nami!“

III.

Psyche spała... Dnia skwarem utrudzona spała
Wśród lilij nawpół zwiędłych, jak te lilje, biała.
Wtem szmer nadbiegł z oddali, niepewny, stłumiony...
Zerwał się sen, wzniósł ręce i jak dla obrony
Potrząsnął kwieciem maku... Lecz ręce opadły,
Rzekłbyś, przemożną czyjąś odepchnięte siłą...
Spłoszony, w nagłem onem przerażeniu zbladły,
Umknął strażnik niewierny, jakby go nie było.

— „Kto mnie budzi?“ — spytała Psyche nieruchoma.
— „Własne twoje sumienie! — głos nieznany rzecze.
Ja do ciebie nie idę. Gnuśnij dalej doma,
Spokojowi blademu oddawszy się w pieczę!
Mnie ku tym przeznaczenie wiedzie, co nadarmo
Wyglądają spoczynku na ciernistej drodze;
Ja zgłodzonych przez życie raczę moją karmą,
Lecz od marzących sennie — ze wzgardą odchodzę!“

— „Przebóg — szepnie spłoniona — pierwszy raz cię [słyszę!
Lękiem głos mnie twój przejął i twe szaty mnisze,

I siwizna twej brody, i zmarszczki na twarzy...
Chłodem śmierci wionąłeś i wonią cmentarzy.
Boję się ciebie... odejdź!"
— „Idę. Lecz zdaleka
Spojrzeniem dotknę skrzydeł twoich, a mam oczy,
Z których ogień zabójczy, jak lawa, się toczy.
Nadarmo chcesz mnie wstrzymać grą westchnienia
[smętną...
Oto patrz na twych skrzydłach wypalam me piętno,
By znak ten ciągle wołał z piórek upowicia,
Że przeszło koło ciebie doświadczenie życia!"

IV.

Wieczór dawno już zapadł. Z niebieskiej bezdroży
Zbiegło słońce... Dnia jasność przed mrokiem się
[korzy.
Ruch życia przed bezwładnym snem kolana zgina.
Nawet wiatr przestał szumieć; nawet gibka trzcina
Listkami po nad stawu uchem nie szeleści...
Noc wchodzi, a za nocą martwota bez wieści,
Bez ruchu, barw, księżycem tylko osrebrzona,
Rozpościera swe mgliste i chłodne ramiona.

Zgasł zachwyt w oczach Psychy, uśmiech odbiegł
[usta.
Świat jej nagle się wydał, jak skarbnica pusta,
Którą sen ogołocił, niepoprawny złodziej.
Nad przepaściami świata smutek ją nachodzi
I wskrzesza postać starca groźnego szkaradną...

Otóż obraz spokoju! Więc w bezruch popadną
Wszystkie ręce; więc serca zmilkną całkowicie
I nawet dusze w głuche pogrążą się śnicie!
Jakiż los wtedy dla niej Opatrzność wyznaczy?

— „Świecie, woła biadaniem żalu i rozpaczy,
Czyż na całej twej wielkiej bez granic przestrzeni
Tylko ułuda życia blaskami się mieni —
I skoro ona gaśnie, wszystko gaśnie w tobie?
Czyż codzień wstajesz po to, by codzień ledz w grobie
I jak rozległy jesteś, jak wielki, jak długi,
Nikt nie waży się płynąć naprzeciw tej strugi,
Nikt nie złamie zaklęcia, które ciebie łamie?
Nikt?“

V.

A w dole ktoś stanął na skalnym odłamie
I namiętnie podnosząc ku niej ramion dwoje,
Wybuchnął: „O, pójdź ze mną! Złamiem je oboje!“
— „Kto jesteś?“ — zapytała, tłumiąc serca drżenie.
— „Duch rozkoszy! Na świata martwego arenie
Ja jeden nie usypiam, w niemocy nie tonę.
Spojrzyj: młodość mi lica krasi rozmarzone,
Jako z bajki królewic noszę złotogłowie,
A szał w mojem spojrzeniu, a miód w słodkiej mowie.
Ja kocham ten mrok nocny i jasnym go czynię:
Dla innych śmiercią, dla mnie bodźcem on jedynie.
Tysiące pragnień wzniecam, co sen każdy płoszą,
I tysiące odurzeń szlę...“

— „Tyżeś rozkoszą?
O, jak dobrze, iż widzę cię w tej chwili przy mnie.
Chcę otuchy, wszak znajdę ją w twym wrącym [hymnie;
Chcę pociechy, wszak podasz mi ją w złotej czarze.
Chcę życia, wszak rozbudzisz te głuche cmentarze.
Pójdź do mnie... Weź mnie z sobą... Pójdź...“

Tak Psyche błaga
Niewinna, choć pragnąca i czysta, choć naga.
A Grzech, co królewicza szaty przywdział na się,
Ponętą jej uroków oczy swoje pasie.
Żądza pcha go wciąż wyżej, gdzie nań tryumf czeka:
Mierzy wzrokiem odległość — o, jakże daleka!
Próbuje stopą gruntu, rękami się ima —
I nagle przed niebianki tęskniącej oczyma
Zachwiał się, w przepaść runął...

VI.

Oh, nie sam, zaiste:
Jakgdyby spadłej gwiazdy widmo promieniste,
Błysnęła nad przepaścią Psychy jasnej postać...
— Nie śmiała już wśród lilij nieskalanych zostać.
Przymknąwszy oczy, tuląc rączęta do łona,
Opuściła wyżyny swej szczytny piedestał,
Aby na dnie czeluści paść w Grzechu ramiona.
Porwał ją...
Ale tknąwszy, drgnął i... istnieć przestał.

DUCH WŁÓCZĘGA.

I.

Martwota nocy, jak strażniczka trupia
Siedzi posępna, cicha i wyłupia
Mdłe oczy: gwiazdy.
Całe lat miliony
One tak patrzą na świat snem zmorzony
I chociaż każde nowe dnia zaranie
Drwi z nich, — mniemają, że on już nie wstanie...

O, niepoprawni gwiazd piewcy, poeci!
To naturalizm, wasz postrach, w nich świeci.
To naturalizm bez czucia i wiary
Gwiazd wzrokiem — ziemi przegląda obszary.
One, choć tyle lśni ich tam wysoko,
Mniej widzą, niźli jedno bystre oko.

One po wierzchu tylko patrzeć umią;
Im się wydaje ziemia wielką mumią;
W śnie pogrążone oglądając ciała,
Sądzą, że śpiącym noc wszystko zabrała,
Że w nich zamknęła snu kluczami życie.

O, gwiazdy, kiedy wy się uleczycie
Z krótkowzroczności, co tak nędznie kłamie
I upór z pychą zlany ma za znamię
I nie chce wiedzieć w tym swoim uporze
O niczem, czego zobaczyć nie może?

II.

Znalazłszy trafem odchylone wrota,
Duch śpiące ciało precz od siebie miota,
Tam — na posłaniu niech ono spoczywa
Jak opróżniona poczwarki pokrywa...
Duch, co w niem leżał niby na całunie,
Żądny swobody motylem w świat frunie.

Zmienione role. Tak! Niechaj śpi ciało...
On snu ma dość już... Czyż jeszcze zamało
Spał dotąd w mroku, w głębi swej sadyby;
Spał nieświadomy siebie — spał, jak gdyby
Nie istniał wcale... A teraz zbudzenie
Przyszło nań nagle i rozwiało cienie,
I ciężkie klatki drzwi jemu rozwarło.

Więc duch się podniósł i swą obumarłą
Moc uczuł znowu. Nawskróś go przenika
Istnienia rozkosz, słodka, wrąca, dzika.
Jak jeniec, kiedy wolność znów odzyska,
Do wojennego zrywa się igrzyska —
Jak zwierz, co długo uwięziony w leży,

Wybiega chyłkiem, krwi spragniony świeżej —
Tak on szaleje, porzuciwszy ciało.

A otoczenie, patrząc nań, zadrżało...
Lęk je pochwycił i nawet te rzeczy,
Martwe, bezduszne, które są człowieczej
Ręki utworem; w które się nie wciska
Myśl; którym uczuć nieznane zjawiska —
Wstrząsł przestrach. Naprzód zegaru wahadło
Drgnęło, zgrzytnąwszy i z hukiem opadło.
Potem, zasłonę uchylając mięką,
Drzwi się rozwarły, jakby pchnięte ręką
I zgasła lampka nocna...
Coraz dalej
Szła owa zgroza. Ona w wiatru fali
Wznieciła jęki jakieś tajemnicze;
W drzew. się pławiła szmerze, w ziół szeleście—
I nakazała puhaczom niewieście,
Czy też dziecięce naśladować łkanie —
I psa przykuła przy swoim rydwanie,
Wydobywając mu nagle z gardzieli
Rozpaczne wycie...

Tym, co to słyszeli,
Sen zbiegał z powiek, stawał włos na głowie,
Po wszystkich członkach przebiegało mrowie,
Pot zimny zlewał czoła... Nawet ciało,
Z którego wyszedł duch, od trwogi drżało.

On zaś mknął dalej, dumny, upojony...
Dla niego zgrzyty, konwulsye i tony
Pełne przerażeń, były słodką strawą...

Czemże to wielkie, to wszechwładne prawo
Sił naturalnych, skoro ustąpiło
Przed samą tylko jego przyjścia siłą?
Czem bezgraniczna ładu jest potęga,
Skoro już jego wola za nią sięga?
Czem karność tworów, kiedy jego ramię
Dowolnie cały zakon zjawisk łamie?

III.

Lecz cóż mu z dziwów, któremi przeraża?
Dłoń jego była, jako dłoń kuglarza
Służką igraszek... Czyż po to jedynie
Wyszedł z ukrycia, a gdy się rozpłynie
Moc wysiłkami wreszcie wyczerpana,
Z tym tylko łupem w kaźń powróci zrana?

I jako Mojżesz przez dotknięcie swoje
Dobył ze skały wód ożywcze zdroje,
Tak zawstydzeniem dotknięty, wybucha
Sił wprzód bezwiednych zasób z głębi ducha.

Powstał. Na zwiady posłał swe spojrzenie.
Otworem stały mu teraz przestrzenie.
Wszystko, co mgliste i co tajemnicze,
Odkryło nagle jemu swe oblicze.
Dna źródeł widział i kopalne głębie,
Śnieżne iglice szczytów na gór zrębie,
Ostępy puszczy i dzikie rozłogi...
I stanął przed nim zagadek rój mnogi,

Nad którym mędrcy próżno suszą mózgi;
Stanął bez przyłbic ciemnych i bez rózgi
Siekącej ludzkość całą z dawien dawna:
Każda aż do dna przejrzysta i jawna.

O, jakże proste, nikłe, jak mizerne!

W lot duch wyczerpał całą ich cysternę
I pogardliwie odwrócony od niej,
Dumał, gdzie siły mógłby zużyć godniej.

Wówczas wróciło doń wspomnienie świata,
Gdzie mu więzienna wzrok zasłania krata,
A gdzie, za chwilę może, znowu wróci...
Owiał go oddech ziemskich mar — i chuci
Człowieczych płomień — i duch, co przed chwilą
Patrzył bez wzruszeń, jak się przed nim chylą
Sprawy ziemskiemu niedostępne oku,
W nizinach życia znalazł czar uroku.

IV.

Znikłszy na chwilę, wraca doń powoli
Świadomość ziemskiej doli i niedoli,
Syk nienawiści, miłości muzyka...
Stanął w wyniosłej postawie łucznika
I jakby strzałę jadem zaprawioną
Cisnął swój obraz wrogowi wprost w łono.
Żadna go w drodze przeszkoda nie wstrzyma
A gdy ofierze błyśnie przed oczyma,
Gdy szmerem groźnym napełni jej uszy,
Śmiertelna trwoga wszelki opór skruszy
I spełni dzieło pomsty niezbłagana,
Aż ją rozproszą szare świty rana.

Ciebie on jednak gromem nie powali
Druhu serdeczny, hartowny, jak z stali.
Nad twojem łożem w wyprawie pielgrzymiej
Baldachim skrzydły utworzywszy swymi —
Duch troski zmiecie, co tutaj zawisły...
Bo on silniejszy, niźli twoje zmysły;
On wie i widzi tam, gdzie tobie ciemno;
Jemu igraszką to, co nadaremną

Dla ciebie walką; więc on tobie zwierzy,
Gdzie masz ochrony szukać i przymierzy,
Zkąd na cię zguba dybie, pędząc czwałem
I jak natarciem masz ją wyprzeć śmiałem.
A radę swoją tak w sny tobie wplecie,
Że nieświadomie ulegniesz podniecie;
Że wszystkie myśli twe i wszystkie czyny
Pójdą jedynie szlakiem tej ścieżyny,
I karnym kluczem polecą żurawi
Tylko ku temu słońcu, co cię zbawi!

V.

A wtem mu zdala w pełni błysła całej
Miłość — niezmienna, tak, jak ją wydały
Życiowe moce, wespół z ciałem dusza.
Znów go ponęta owa słodka wzrusza.
Choć duchem jeno w jej objęcia pada,
Drogą mu włosów złocistych kaskada
I czoło, karta księgi tajemniczej,
I usta, kielich przedziwnej słodyczy,
I spojrzeń głębia, głosu srebrna nuta —
I szyja, gdyby z marmuru wykuta —
I to rozkoszne ciepło, którem pała
Z pod muślinowej koronki pierś biała.

Tak u węzgłowia stojąc, zapatrzony
W piękno, co przed nim całe, bez ochrony
Kwiatu swojego rozchyliło czaszę,
Szepcze: „O, niechaj pragnienie ugaszę
Rosą w tym kwietnym błyszczącą kielichu!“...

I ręką musnął czystą skroń pocichu,
Ostrożnie, zwolna...

Lecz już to dotknięcie
Snu naruszyło bezbronne pieczęcie
I z ust zbudzonej niem nagle kobiety
Uleciał okrzyk rzewny: „Kto ty? Gdzie ty?
Wszakże cię widzę i czuję przy sobie,
I jakby jedna były nasze obie
Istności, tak mnie miłość z tobą splata...
Wszakże cię widzę, a jednak ty z świata
Fantazji jesteś; ty-ś z blaskiem księżyca
Wszedł, a namiętny głos twój się przemyca
Z szmerem nocnego wiatru i z nim ginie,
Milknąc bez echa .. Tyś mym snem jedynie!“

Duch milczał smutny. Tymczasem zaś zdala
Wpłynęła pierwsza srebrna ranku fala,
Wołając: „Wracaj z pielgrzymki przydługiej!“

Niebawem wpadną za nią całe smugi
Jasności dziennej i zbiega zapędzą
W kaźń znów — i życia przytłoczą go nędzą.

Raz tylko jeszcze spojrzy w piękne oczy,
Raz jeszcze skrzydłem swojem ją otoczy,
By z pożegnaniem, pochylony nad nią,
Szepnąć: „Mnie ranku moce ubezwładnią;
Lecz choć wróciwszy, gdzie mi wracać każą,
Może nie stanę nigdy przed twą twarzą, —
Wiedz, że nie złuda, lecz duch na twem łonie
Swoje brzemienne szałem, złożył skronie;
Że duch w twych ramion utonął uścisku,
Przy twego serca ogrzał się ognisku,
Z twych ust ssał słodycz — i pamięć pieszczoty
Wziął i zachował, jak talizman złoty“.

VI.

Dzień płaszczem sinym barki swe otula;
W ręku ognista słońca błyszczy kula
Niby monarsze jabłko; mgły różowe
Nową koronę kładą mu na głowę,
A u stóp tronu, co iskrzy się rosą,
Wszystkie stworzenia hołd radosny niosą.

Świat dziwów, grozy znikł bez śladu zgoła...

Duch wrócił w ciało... Nikt z bladego czoła
Dziejów włóczęgi jego nie wyczyta...
Jemu samemu ona już zakryta.
Zaledwie może głos wpółnieświadomy
Wznowi sił pamięć, co z ducha, jak gromy,
Padały kiedyś i sprawiały cuda...

Lecz żali-ż wie on: prawda to, czy złuda?

ZNUŻENIE.

I.

Istny najazd — oblężenie:
Różowemi palcami, uśmiechnięta, radosna,
Do drzwi puka młoda wiosna;
Ciepły wiatr okno odchylił przemocą,
Słoneczne złote promienie,
Jak strzały, zewsząd migocą...
Istny najazd — oblężenie!

* *
*

— Powstań! Rzuć duszne zacisze;
Wiosny powiewem odetchnij głęboko
W gaju, co świeże już pęcze kołysze;
Na łące, co zielenią orzeźwi ci oko.
Mroki, gnieżdżące się w skrytości duszy,
Słońce swym blaskiem rozprószy;
Umilknie myśli sprzecznych zgrzyt chrapliwy,
Gdy cię zaleci ptactwa pieśń od niwy.
Powstań!

— Nie mogę! Znam wiosny ponęty...
Jeszcze mi pamięć przechowała cicha
Ich czar zaklęty.
Ssałem słodyczy dość z wiosny kielicha!
Bywało, rankiem wychodzę w dąbrowy:
Tu mnie powita ptak, tam kwiatek nowy;
Krzew świeżym liściem z boku zaszeleszcze;
Wiatr pocałunkiem muśnie skroń młodziana —
I zwieje wszystkie troski, wszystkie smutki...
Ach, tak niedawno jeszcze!
Bywało, słońca jasność nieprzebrana
Każdy mi wtedy serca kąt cichutki
Złotem wyściela, serce zaś łakome
Zagarnia zdobycz i struny z niej czyni,
Na których jasna szczęścia gra mistrzyni.
I brzmi gęśl złota rozkosznie, a szczerze
Pieśnią, zawartą w jednem słowie: Wierzę!
I przy jej dźwięku, z uśpienia zbudzona,
Miłość gołębiem wylatuje z łona,
Nadzieja słońce zapala;
I ból i żałość zaledwie gdzieś zdala
Majaczą we mgle, jak cienie złowieszcze,
Zaklęciem wypędzone w samą porę...
Lecz dziś — to samo serce, patrz, jak chore;
I patrz, jak czarna zasłona
Zwisła przedemną...
Napróżno wiosna ciepłe wyciąga ramiona
Zimno mi, pusto i ciemno!

— A jednak powstań! Uchodź precz z ukrycia!
Jeśli cię wiosna wzruszyć już nie umie,
Szukaj ty nowej wiosny w ludzkim tłumie;

Rzuć się w wir życia...
Precz tamy i zapory! Mniej zaprawdę grzeszy
Szaleniec, który ciągle ognie błędne goni,
Niż, kto odciąwszy się od ludzkiej rzeszy,
Jak ślimak ze skorupą, pełza sam w ustroni.
Sięgnij w głąb siebie! Nie tkwi-ż tam w popiele
Pragnień zarzewie, namiętność niesyta?
Od czegóż wino i wieczne wesele,
Które z niewieścich róż ku nam wykwita?
Powstań!

— Nie mogę! Ani słodkie wino,
Ani mnie wzrusza nerwów gra namiętna...
Bywało — czyli pamiętacie, druchy?
Bywało — czyli pamiętasz, dziewczyno?
Bywało, szybciej biły moje tętna...
Nie wiądłem wówczas, jako krzew ten suchy,
Co dżdżu nie łaknie już, ni blasków słońca —
Lecz byłem jako powój, który w lesie
Z drzewa na drzewo, z krzewu na krzew pnie się
I skrzydlatego miałem lekkość gońca,
Motyla z róży mknącego ku róży...
Ileż przez ręce moje przeszło szklenic;
W ilu marzących głąb wnikałem źrenic;
Ilu podsłuchywałem serc burzliwe bicie;
Ilu ust słodycz spijałem obficie!
Lecz dziś zwinięty w kłębek, nakształt węża,
Gdy go zimowy, głuchy sen zwycięża,
Serce zastygłe w zimnem kryję łonie,
I każdy urok obija się o nie
Jak o stalową tarczę ostra strzała...

— A jednak powstań! Jeśli już nie pała
W tobie użycia żądza; gdy z gałązek,
Które pod uciech gną się owocami,
Żadna już pragnień twoich nie omami,
Niech cię z martwoty zbudzi — obowiązek!
Znasz go? Wiesz, ilu węzłami oplata
Wszystkich zosobna i cały gmach świata?
Innym — jak jarzmo — ciężki, niech on tobie
Ulgą się stanie... Jak do szału wprzódy,
Tak dziś do ciężkiej służby niech się garnie
Cała moc ducha twojego ofiarnie
Na bojowanie dla innych, na trudy.
Powstań! Przez usta moje ciebie wzywa
Ludzkość, ojczyzna w gruzach, nieszczęśliwa;
Z sercem surowem, w nieskruszonej zbroi
Powstań! — Wzywają cię najdrożsi twoi...
Zanim sił resztę apatja pogrzebie,
Powstań — gdy nie dla innych, to dla siebie!
Powstań!

— Nie mogę!

— A więc giń, przeklęty!
Giń, jako liście, opadłe przedwcześnie;
Jak myśli puste, rozprószone we śnie;
Jak piasek suchy, którym wicher miota...
Lecz nie! Jest jeszcze jedna moc żywota,
Co cię przynajmniej grozą przejąć zdoła...
Słuchaj: nad tobą — niedoli anioła
Snuje się postać... Słuchaj: oto spędza
Przeciwko tobie swoje harpie nędza —
I demon chorób i duch wszelkiej klęski...
Powstań! Wysiłkiem woli zbudź hart męski!

Jeszcze czas; jeszcze możesz w próżną trwogę
Wszystko to zmienić. Powstań!

— Nie! Nie mogę!
Choćby świat runąć miał tu w jednej chwili
Całym ciężarem na mnie, cóż to znaczy?
Radość nie kipi, tęsknota nie kwili,
Nie wyje w sercu mojem wilk rozpaczy.
Lęk usnął, z pragnień żadne się nie rusza;
Ciało za życia opuściła dusza...
Przestałem istnieć, choć jeszcze istnieję.
Została tylko wspomnień garść gdzieś na dnie:
Migocą we mgle minione koleje,
A ja spoczywam bez czucia, bezwładnie,
Pod szarem cielskiem gnuśnego olbrzyma,
Co runął na mnie, powalił mnie sobą
I tak w uwięzi życie moje trzyma...
Kto on, co nie jest śmiechem, ni żałobą;
Pełnią, ni próżnią; mrokiem, ani świtem;
Ogniem, ni lodem; melodją, ni zgrzytem?
Kto on? Myśl moja, leniwo krążąca,
Ostatnią strunę świadomości trąca
I oto płynie bezdźwięcznie w przestrzenie
Głos, czy szmer cichy: „Znużenie! Znużenie!“

PSYCHE.

Psyche.

. . . O, Psyche, Psyche!
Byłem szalony, bo bolem zatruty:
Ty wiesz, jak w serce moje, dziś już ciche,
Padały ciosy — i jak jad zatruty
W spragnione usta sączył się nad miarę...
Ty wiesz, jak życie moje było szare,
A troski pełne — i jak moje oczy
Patrzeć musiały wciąż w niedoli przepaść...
— O, Psyche? Kto nad krawędziami kroczy,
Miałżeby nie paść?

Upadłem przeto i wstyd plamą ciemną
Zaćmił mi czoło; wstyd, posępne dziecię
Owych mar jasnych, co niegdyś nademną
Snuły się ciągle — i które po świecie,
Przez cały żywot wieść mnie za dłoń miały...
I oto-m przeklął własne ideały,
Własne pragnienia, sny — jako przeklina
Nieszczęsny ojciec wyrodnego syna.
Lecz klątwa strzałą przeciw nim rzucona,
Mieczem wracała w głąb mojego łona.

O, Psyche... Zwycięztw jam nie pragnął przecie!
Jam pragnął walki. Lecz czując Ormuzda
Tchnienie w swem sercu, jam marzył jak dziecię,
Że nie powściągnie mnie zwyczajna uzda;
Że się nie rzucę tchórzem na kolana
Przed potężnego stopy Arymana;
Że bohaterskie zdołam wskrzesić mity —
Dumny zwycięzca — lub dumny pobity.

Nazbyt się rychło oczy me otwarły:
W walkę nie poszły ze mną wielkie bogi;
Karzeł — ujrzałem wokoło same karły.
Małych, poziomych trosk na mnie rój mnogi
Skierował żądła komarze... O, Psyche!
Ból to nad bole był, gdy trwogą zdjęty
Musiałem poznać me zadanie liche;
Musiałem patrzeć, jak mnie lepkie męty
Spychały ciągle niżej w głąb swą na dno —
I jak czychała na mnie śmierć w tej grząskiej
Topieli, której bezdenność szkaradną
Pokryły płaszczem swoim — obowiązki.

Wówczas stargałem własną moją ręką
Struny drgające mi na serca lutni;
Strunę miłości marzycielskiej, miękką
I strunę drugą, tę, co najokrutniej
Rozdźwięk tworzyła w życia nędznej walce:
Tęsknoty rwącej się w lot niestrudzenie...
Na inne-m struny złożył krwawe palce:
Litość — to jedna, druga — oburzenie.

I nie nad samym już, zaprawdę, sobą...
Litość — nad całym światem, całą dobą

Niskich tych lotów, walki tak poziomej...
I oburzenie nietylko na sromy
Powszedniej klęski, gnieżdżące się we mnie;
Jeno przeciwko owym, których stado
Na całą rzuca się dziś ludzkość bladą,
O kruszki szczęścia walczącą — daremnie!

Tak mnie zastałaś, jak robaka prawie,
Co po drożynie pełza i w kurzawie
Pomiędzy nowe wciąż się ciśnie ciernie,
— I chociaż mogłaś zdziałać, bym mizernie
Zginął pod twoją stopą, rozmiażdżony —
Ty, widząc, jako byłem bez obrony,
Wzięłaś mnie, zgoła niepomna na pychę —
I w twoje własne iść kazałaś strony
O, Psyche, Psyche!...

Miara.

Młodzieńczy zapał, jak wezbrana rzeka,
W szalonym naprzód ciągle mknie rozpędzie;
On nie rozważa, nie liczy, nie czeka,
Zanim czas będzie.

Ślepo rzut jego pada, z dziką siłą,
Z naiwną wiarą, że tryumfy zbierze;
A jednak ileż butnych fal rozbiło
Skalne wybrzeże!

Przeto nad pędem, wstrzymanym w pół drogi;
Nad głosu nagle pozbawionem hasłem;
Nad migotaniem ułudnej pożogi
W zaczątku zgasłem;

Nad hardą rzeszą nieujętych niczem
Błysków, wysiłków, wrzawy i pogoni;
Ponad szaleństwem bezwiednie zbrodniczem,
Co siły trwoni;

Ponad daremnym rozmachem oręża —
  Z smutkiem się słania mądrość życia szara;
Wie ona bowiem, że tutaj zwycięża
                Nie szał, lecz — miara.

Bezsilna pieśń.

. . . .
O, wy nędzarze, którym mózg i trzewie
Przepala głodu ciągłego zarzewie;
O, wy, wśród nocy bez dachu nad głową;
Wy, nawpół nadzy w zawieję zimową;
Wałęsający się, jak tłum strzyg blady,
Dokoła sutej, życiowej biesiady;
Wy z człowieczeństwa odarci, wpółzwierze,
— Ilekroć spojrzę na was, wstyd mnie bierze.

Tak, wstyd tej pieśni, co mi płynie z duszy,
Że nie nakarmi was, łez nie osuszy,
Ani nagości nie osłoni szatą,
Ni strzechy nie da, — i że patrząc na to,
Jak was niedola, beznadziejna, cicha
Z wyżyn człowieczych w poziom zwierząt spycha,
— Bezsilnie twarz swą smutną w ręce chowa,
Zdobyć się zdolna zaledwie na słowa!

Błogosławieni cisi...

Błogosławieni cisi, którym dano,
Słodkiego smętku skarb za życia wiano.
Bo, jak przez zaklęć moc, on ich uczyni,
Wyspą na morzu, oazą pustyni.

I jak przystanie będą pośród burzy
I jak pochodnie, gdy mrok oczy znuży,
W dniach zimy—wiosną, ochłodą—wśród skwaru,
Na bagnie lilią, w mętach perłą czaru.

Ponad zamkniętą księgą ich żywota
Nie błyśnie sławy aureola złota;
Tylko ich sobą pamięć opromieni,
Szepcząca jedno wciąż: „Błogosławieni"!

Na sądzie.

. . . . . — „O, Panie!
Jakiemże prawem oni tu przedemną?
Znasz moje życie; wiesz: nie upadł na nie
Z grzechów ni błędów żaden plamą ciemną.
Święte mi było każde przykazanie —
I nawet nie wiem, co znaczy w oporze
Przeciwko woli Twej broń podnieść, Boże!

* * *

„Ilekroć zwodne błysły skąd ogniki,
Wzrok odwracałem; gdy pieśnią ponęty
Szatan wywołać chciał zmysłów bunt dziki,
Wstęp do mej duszy spotykał zamknięty;
Gdy groźby miotał, bym jak liść osiki
Drżał z trwogi przed nim, ja w każdej potrzebie
Jako bluszcz — żerdzi, imałem się Ciebie.

* * *

„Ani-m nie zginął na drzewie żywota
 Odroślą martwą, albo pasorzytem;
Sto rąk, sto oczu miała moja cnota;
 Przed nędzą mienie me nie było skrytem
I nie zamknięte były serca wrota.
 Ile-m ja razy winy zgładził cudze;
 Ile otarłem łez ku swej zasłudze!

* *
*

„A jednak teraz... Skąd, o, Panie, powiedz,
 Gdy liczbę z życia skończonego zdałem,
Widzę przed sobą innych, — co manowiec
 Niejeden przeszli i albo z zapałem
Tobie wypowiadali bój, lub nakształt owiec,
 Gdy je wilk nagle po runie zaskubie,
 Strwożeni, biegli oślep wprost ku zgubie!?

* *
*

„Ile upadków przebywali oni,
 Ile zwątpienia i rozpaczy ile
Tych chwiejnych w życiu chwytało się dłoni,
 A przecie teraz witasz ich tak mile.
Cóż one cienie od twej pomsty chroni
 I w czem ich wyższość nademną, co w bieli
 Niepokalanej wracam tu?“

— „Cierpieli!“

W upadku.

W głębie upadku niemocą rzucony,
Biadał człowieczy duch...
Był bez ochrony
I bez otuchy, jak bezsterna nawa...
Z ran mu posoka sączyła się krwawa,
Na usta pianę wydobyły zgrzyty —
Leżał bez ruchu, winą swą przybity.

Lecz w skardze ducha, ponad bagna męty
Nie lęk o pomstę z piersi biegł ściśniętej;
Nie rozpacz czarna, jeno wstyd, — ten szary
Pokutnik, mściciel, wykonawca kary.

A z wstydem, bratnie zawarła przymierze
Pamięć, jątrząca ciągle rany świeże,
Jakby potworny sęp Prometeusza...

Ostatek siły, co sercem porusza,
One wyżarły i głucho, bezwiednie,
Jako ta gwiazda, która naraz blednie,
Jako liść, wiatru oderwany ręką,
Duch runął...

Nagle uczuł, jak ktoś mięką
Dłoń mu podaje, jak z grzęskiej topieli
Wpół już martwego dobywa i ścieli
Posłanie z kwiatów, a potem skrwawioną
Duszę układa na niem, wlewa w łono
Nowy sił zapas i rany umywa...

I głos usłyszał z dali: „Jam prawdziwa
Miłość. — Ja spajam znów, co wina zrywa.
Widziałam ból twój, wstydu twego bladość:
Dziełu pokuty, stało się już zadość.
Na mojem łonie wypłacz żal dziecięcy
I wstań — i w życie idź — i nie grzesz więcej!"

Znalezienie.

Szukałem ciebie mitręgą daremną;
Patrzaniem oczu, aż oślepły prawie;
Snów marzeniami, co w noc były ze mną;
Serca tęsknotą na jawie.

Szukałem ciebie kochania uściskiem;
Wściekłością, gniewom płomiennym usłużną;
Szukałem ciebie w dalekiem i bliskiem,
A jednak, Panie, naprożno.

Ślady ścierałeś, gdym gonił skwapliwie;
Pościg pustynię znajdował bezmierną;
Głodowi byłeś jako ścierń na niwie,
Pragnieniu — wyschłą cysterną.

A przecie w końcu zabrakło ci siły
W niwecz obracać wszelki trud i pracę;
Oto cię szpiegi duszy dogoniły
I już cię z oczu nie stracę.

Jesteś nalezion nie nie na chwały szczycie,
Przed którą klęka duchów próżnych tłuszcza;
Nie w tej potędze, dla której lęk czci Cię:
Lęk, co bezsilnych opuszcza.

Jesteś nalezion nie w ślepej dobroci,
Rozsypującej głodnym ptaszkom ziarno;
Nie w pięknie nawet, co rzeźbi i złoci
Ziemię bezkształtną i czarną.

Jesteś nalezion — dla czegoż nie prędzej? —
W niemocy słabych i upokorzenia,
W rozpaczy, żądnej tylko zginąć, — w nędzy,
Co samą szpetność rozplenia.

Jesteś nalezion we wszystkiem, co boli,
I co na twarze ognie wstydu ciska;
We łzach i zgrzytach i skargach niedoli,
Szydzących z twego nazwiska.

Kropla, co chwilkę wybrańcom upiększy,
Wiekuistości Twej w sobie nie zmieści;
Jesteś nalezion, Panie, gdzie-ś największy:
Tam — w morzu win i boleści.

Zmartwychwstanie.

Widziałem wszystkie żałości rozpacze,
Jak przy Twym grobie zjednoczone stoją,
A każda skarży się cicho i płacze...

Widziałem wszystkie... Matki smutek głuchy
Aż tu za dzieckiem zmarłem wbiegł ze swoją
Zadumą, próżno żebrzącą otuchy...

Sieroce snują się po kątach rzesze,
Jako pisklęta wyrzucone z gniazda.
Kto im dziś rzec ma:—„Cyt! Ja was pocieszę.“?

Oto znów krwią zbroczone serce młode...
Tak nagle zgasła mu miłości gwiazda!..
Kto wskrzesi dzisiaj młodzieńczą pogodę?

Ciężkiej zasłony wdowiej szelest leci...
Przedwcześnie zwiędłe szepczą z pod niej usta:
— „Kto będzie tarczą moją i mych dzieci?“

Wytęża mędrzec przed siebie wzrok szary;
Trwoży go przyszłość tak zimna, tak pusta...
— „Kto mi powróci, duma', światy wiary?"

Władca wzniesiony na potęgi szczyty,
A przeciwnika dłonią na proch starty,
Załamał ręce: — „Pobity, pobity!"

Naród, wspaniały niegdyś, dziś jak blada
Wizya, z dziejowej wykreślona karty,
Cały ból wtłoczył w jeden jęk: „Zagłada!"

Tak po kolei wszystkie szły męczarnie
I każda kładła tu łzawnicę swoją
Na grobie, w którym Pan spoczął ofiarnie.

Aż niebotycznym podniosło się murem
To łzawnic mnóstwo... I jak pierś za zbroją,
Grób zniknął za tem wzniesieniem ponurem.

Wtedy lęk wstrząsnął nieprzejrzane rzesze
I krzyk się rozległ straszny: „Nie ma Boga!"
Lecz nagle stłumił go głos: „Oto śpieszę!"

I blask na łzawnic ukazał się ścianie...
Runęła z hukiem. — U mogiły proga
Pan stał, mówiący: „Niosę zmartwychwsta-
[nie!"

Koniec.

TREŚĆ.